

BIBLIOTEKA

● LUBELSKI ZAMEK: „BIAŁA PLAMA” ● OD ŁAGRÓW KOMI DO WINNIC
ITALII ● DLACZEGO PIENIĄDZE TRACĄ WARTOŚĆ ● LICEALIŚCI I
STUDENCI O SOBIE ● SŁOWNIK GWARY STUDENCKIEJ ● PROGRAM TV ●

TYGODNIK
WSCHODNI

relacje

LUBLIN, 16-22 II 1989 R.

NR 5

CENA 50 ZŁ

SAM SYSTEM NAKRĘCA
INFLACJĘ

CZY POZOSTANĄ JEDYNI PIENIĄDZE?

Michał Zieliński

WSTAREJ anegdocie słuchacze „krótkiego kursu...” pytają agitatora, czy w komunizmie będą pieniądze, na co uczony w piśmie po chwili namysłu odpowiada: „wyłącznie”.

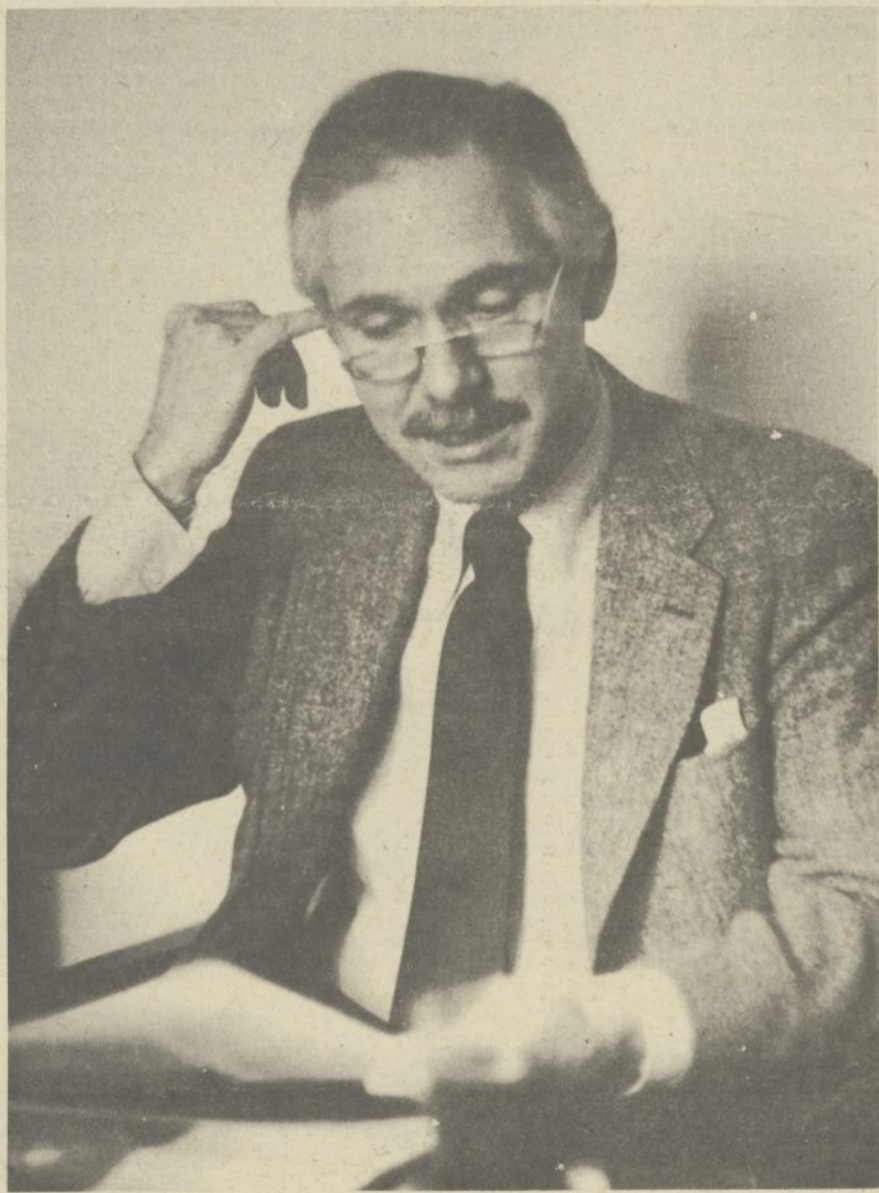
Rok ubiegły dostarczył kolejnych dowodów na to, że nie są to żarty. Jego syntetyczne podsumowanie jest następujące: miał miejsce wzrost cen detalicznych o — w zależności od sposobu liczenia — ca 65—85 procent, przy równoczesnym powiększeniu zasobów gotówkowych ludności z 1,35 biliona złotych do 2,6 biliona złotych. Wzrost rozmiarów „gorącego pieniądza”, który ludność rozpaczliwie usiłuje wydać i praktycznie nie ma na co, spowodował całkowite niemal ogłocenie pótek z dóbr trwałych. Od strony wskaźników ekonomicznych wyraża się to dalszym spadkiem relacji wartości zapasów w handlu do wartości sprzedaży. Wyrażony w dniach (informuje, na ile dni starczyłoby — wartościowo licząc — towaru, gdyby wstrzymano dostawy) obniżył się on z 63 dni w 1986 roku (najwyższy poziom w latach osiemdziesiątych) do 59 w 1987 (podczas listopadowej paniki zakupów spadł do 46 dni), i do około 50 dni w roku ubiegłym. Jest to wielkość średnia dla całego roku, która nie mówi jeszcze wszystkiego. W ujęciu miesięcznym wskaźnik ten w drugiej połowie roku rozpaczliwie malował, wynosząc: w październiku — 42 dni, w listopadzie 41 dni i w grudniu 38 dni.

Dla pełni obrazu dodać należy dwie rzeczy. W 1981—1982 roku, gdy, jak to ładnie określił najwybitniejszy dziennikarz wśród ministrów, „na półkach dyżurował oset”, wskaźnik ten wynosił 45 dni, a specjaliści od handlu uważają, że dla „zapewnienia ciągłości sprzedaży” (proszę zauważyć, że na świecie handluje, a u nas — za bezpieczeństwa sprzedaży) niezbędne są zapasy na około sto dni.

Szczęście w nieszczęściu, że przedstawiony wskaźnik syntetyczny — jak każdy wskaźnik tego typu — nieco fałszuje rzeczywistość. Towar towarowi nierówny. Stąd nie sama wartość zapasów w handlu, ale ich struktura jest tutaj czynnikiem decydującym. A największym osiągnięciem gospodarczym lat osiemdziesiątych było powstrzymanie dalszych postępów na „rumuńskiej drodze budownictwa socjalizmu w rolnictwie”. W efekcie tego — dodać należy: wyłącznie tego, bo wielkość nakładów na rolnictwo nie wzrosła — produkcja czysta rolnictwa powiększyła się w porównaniu z 1980 rokiem o ponad dwadzieścia procent i to w sytuacji, w której dochód narodowy nie osiągnął ówczesnego poziomu. Ma to takie konsekwencje dla zaopatrzenia rynku, że żywność — produkt przecież podstawowy — kupić można znacznie łatwiej niż w czasach „rozpasania i anarchii”. Rewersem tego medalu jest oczywiście to, że pogorszyło się zaopatrzenie w dobra trwałe. (Do dnia dzisiejszego pot perli mi czoło na myśl, że na początku stanu wojennego mogłem w sklepie przy Al. PKWN kupić telewizor kolorowy „Rubin” za 22 tysiące złotych. Niestety, poskapałem. Na szczęście kupiłem garnitur).

Nasuwa się jedno tylko, ale o podstawowym znaczeniu pytanie: „jak do tego doszło i czy to już tak być musi zawsze”.

Odpowiedzi są dwie: powierzchowna i „wglębna”. Według pierwszej, szalejąca w dwóch postaciach: cenowej i niedoborowej inflacja jest spowodowana nadmierną kreacją dochodów (płac i świadczeń społecznych) w stosunku do możliwości do uzyskania podaż, pomniejszanej dodatkowo o konieczność uzyskiwania nadwyżki eksportu nad importem. I w pewnym —



Rozmowa z Josephem E. Gore, prezesem Fundacji Kościuszkowskiej — czytaj str. 8.
Fot. Waldemar Stępień

bilansowym sensie — jest to prawda. Czy może raczej pół prawdy. A półprawda, to jak wiadomo tyle, co całe kłamstwo. Trudno jest bowiem w kraju, w którym miesięczne wynagrodzenie zrównało się z godzinową stawką w Stanach Zjednoczonych poważnie twierdzić, że ludzie „za dużo” zarabiają. Stąd poszukiwania odpowiedzi „wglębnej”. Szukają jej wszyscy i wszyscy jakąś diagnozę mają. Mieszczą się one w przedziale od: „rozkradli Panie, rozkradli” (wersja ludowa) po „skomplikowany zbiór przyczyn ustrojowo-systemowo-polityczno-psychologicznych” (wersja naukowa). Obawiam się niestety, że ta druga jest prawdziwa. Niestety, bo gdyby prawdziwa była pierwsza, rozwiązanie byłoby łatwiejsze. Rozkradzione zawsze można „zrewindykować”, czy — jak to określał Piłsudski — „ekspriopriować”.

Prześledźmy tedy cztery wymienione (ustrojowo-systemowo-polityczno-psychologiczne) źródła inflacji. Najłatwiej, bo dziwnie się one sprzęgają, zacząć jest od czynników psychologicznych i ustrojowych.

Wierzono, że będzie lepiej

PRZEZ lata całe ludzie wierzyli, że będzie lepiej. Wiara ta różnie przybierała poziomy (od złotych zegarków wręczanych Gomułce, po „pomocemy, nie będziemy strajkować” powiedziane Gierkowi na początku jego kadencji), ale nieodmiennie pewien jej kwant towarzyszył polityce gospodarczej. Hasło „socjalizm tak — wypa-

Dokończenie na str. 10

relacje ZE ŚWIATA

● **WOJSKA RADZIECKIE**, zgodnie z wcześniejszymi postanowieniami, 15 lutego opuściły Afganistan. Co przyniosą temu krajowi najbliższe dni? Odpowiedzi na to pytanie nie zna chyba nikt, możliwe są tylko spekulacje.

Rozmowy dyplomatyczne, zmierzające do rozwiązania konfliktu zakończyły się fiaskiem. Jak podają agencje, armia afgańska przygotowuje się do szeroko zakrojonej ofensywy. Natomiast mudżahedini, co wynika z ostatnich doniesień, odstąpili od zamiaru atakowania Kabulu. Ponad 2-milionową stolicę zamierzają wziąć głodem.

Głód zagraża nie tylko Kabulowi. Afgańska ziemia, kryjąca dziś około 15 milionów min, nawet w sprzyjających okolicznościach nieprędko da plony. A zagraniczna pomoc opatrzona jest warunkami, z których pierwszy brzmi: porozumienie...

● **PREZYDENT USA, GEORGE BUSH**, przedstawił na posiedzeniu Kongresu projekt budżetu federalnego (1,16 miliona dolarów) na rok finansowy 1990. Wynika zeń, że Bush nie rezygnuje z kierunku wybranego przez Reagana, ale priorytety będą nieco inne. Wydatki obronne pozostałyby nie zmienione, wzrosłyby natomiast środki na walkę z narkomanią i przemytem narkotyków, walkę z AIDS, a także na pomoc dla bezdomnych. Bush będzie kontynuował negocjacje ze Związkiem Radzieckim, ale po „wnikliwym przeanalizowaniu jego polityki”, bowiem —

jak stwierdził — „Rosjanie niezmiennie dysponują bardzo potężną maszyną wojkową w służbie celów, które zbyt często są w konflikcie z naszymi celami... Negocjujemy, ale pozostaniemy zawsze silni...”.

● **AKADEMIK OLEG BOGOMOLOV**, dyrektor Instytutu Gospodarki Światowego Systemu Socjalistycznego AN ZSRR powiedział w czasie konferencji prasowej, że największym zagrożeniem dla przebudowy w Związku Radzieckim jest deficyt budżetowy, który w 1990 r. osiągnie 100 mld rubli. Można mu zapobiec sprzedając w ręce prywatne ziemie należące do państwa. Dzięki temu rozwój gospodarstw rodzinnych poszedłby dalej niż zakładano, co dałoby rolnikom pełną samodzielność. Zdaniem Bogomolowa można importować sprzęt wideo i komputery osobiste i nałożyć na nie podatki dziesięciokrotnie przekraczające ich wartość na Zachodzie.

Mówiąc o kredytach zachodnich Bogomolow ostrzegł, że dalsze ich zaciąganie może doprowadzić do takiego kryzysu gospodarczego, jaki przeżywa Polska. Toteż zasugerował, aby zamiast kupować zboże za granicą, płacić radzieckim rolnikom częściowo w twardej walucie.

● **AJATOLLAH MONTAZERI**, desygnowany na następcę imama Chomeiniego, krytycznie podsumował 10 lat rewolucji irańskiej. Stwierdził, że

„cele rewolucji nie zostały osiągnięte” z powodu nieudolności władzy, a bliżej — „niekompetencji, niesprawiedliwości i walk frakcyjnych”.

● **WĘGRY**, jako jedyne dotąd państwo socjalistyczne, zawarły dwustronne porozumienie ze Wspólnym Rynkiem. Do 1992 r. (czas zamknięcia barier celnych wokół 12 państw Europy Zachodniej, członków EWG), EWG zniesie znaczną część ilościowych ograniczeń w stosunkach gospodarczych z Węgrami, co w istotny sposób wpłynie na poprawę wzajemnego handlu.

● **WŁADZE RUMUŃSKIE** zapowiedziały, że do końca bieżącego roku spłaca wszystkie długi zagraniczne, tj. 2,5—2,8 mld dolarów. W ten sposób Rumunia przekształci się z dłużnika w wierzyciela, gdyż już obecnie jej pożyczki udzielone krajom Trzeciego Świata opiewają na sumę 3 mld dolarów.

● **„ELASTYCZNY CZŁOWIEK Z ŻELAZA”** — pod takim znamienym tytułem tygodnik „Nowe Czasy” opublikował wywiad z Lechem Wałęsą poświęcony przede wszystkim ocenie, szeroko rozumianej, sytuacji w Polsce. Autor wywiadu, Władimir Kulistikow, cytuje i taką wypowiedź Wałęsy: „już od dawna chciałem poprawić swoją reputację w waszym kraju i mam nadzieję, że w końcu mi się to uda. Dlatego też jestem teraz tak zdenerwowany i nawet prosiłem Ojca Świętego, aby się pomodlił za powodzenie wywiadu”.

Radziecki dziennikarz prezentuje też Adama Michnika, który uczestniczył przy rozmowie. „Przynajmniej — pisze W. Kulistikow — że »ten« Michnik rozczarował mnie. Jako uważny czytelnik

naszej prasy miałem prawo oczekiwać, że zobaczą groźny i odstraszący widok. A tymczasem wszedł niewysoki człowiek o inteligentnym wyglądzie...”.

● **TERRORYSTYCZNY ZAMACH** w Czechosłowacji: w Usti nad Łabą wybuchła bomba w gmachu rady narodowej.

● **NIEMIECKA REPUBLIKA DEMOKRATYCZNA** nadal zwiększa import siły roboczej. Obecnie zatrudnionych jest tu grubo ponad 100 tys. obcokrajowców (oficjalnych statystyk brak). Największą grupę stanowią Wietnamczycy (ok. 80 tys.), dalej — Mozambijczycy, Kubańczycy, a czwartym miejscem znajduje się 25-tysięczna gromada Polaków. Władze NRD zainteresowane są przyjazdem kolejnych zastępów siły roboczej, bowiem szybko rośnie tu liczba ludzi starych, aniżeli postępuje modernizacja przemysłu.

Pracujący w NRD obcokrajowcy część zarobków mogli przekazywać do rodzinnych krajów, a za pozostałą sumę kupowali towary. Ostatnio skarżą się oni na... nadmiar pieniędzy, bowiem ograniczona została lista towarów, które wolno im bez cła wysyłać do rodzin.

● **DOMY PUBLICZNE** ponownie należy otworzyć w naszym kraju — powiedział niezależnemu tygodnikowi „Reform” znana węgierska piosenkarka Sarolta Zolotnay. Poparła ją przy innej okazji: profesor kliniki chorób skórno-wenerycznych w Budapeszcie oraz pracownik MSZ WRL, który stwierdził, że „potrzeba oficjalnie zalegalizowanej i kontrolowanej prostytucji dojrzała w dzisiejszym społeczeństwie węgierskim”.

relacje z KRAJU

● **POLSKI „OKRĄGLY STÓL”**, najważniejsze dziś dla nas wydarzenia, szczegółowo relacjonowane i komentowane, tak w oficjalnych wypowiedziach jak i „nocnych rodaków rozmowach”, przyciąga uwagę świata. Dowodem — obecność w Warszawie armii dziennikarzy (tytuł ostatnim razem było podczas wizyty papieża), przybyłych z Zachodu i Wschodu. Oto fragmenty ich korespondencji: „okrągły stół budzi dobre nadzieje”, „to doniosły krok w stronę narodowego pojednania”, „partia dostrzegła potrzebę stworzenia w ramach systemu politycznego miejsca dla opozycji”, „SO-LIDARNOSC pragnie respektować porządek prawny i zasady związkowe, stawiając interes narodowy ponad interesy partykularne”.

Są i pierwsze reakcje polityków. Oto pełnomocnik kanclerza Kohla do spraw rokowań z Polską, Horst Teltschik, w wywiadzie udzielonym rozgłośni DEUTSCHE WELLE, powiedział m. in.: „Nie można pozostawić Polaków ich

własnemu losowi i przyglądać się z zewnątrz. Jeśli zainicjowali oni pozytywny proces, to wszyscy Europejczycy powinni ich w tym wesprzeć”.

Na koniec wspomnijmy o zmianie obrazu Polski (od 1982 r. zdecydowanie niekrytycznego) we francuskich środkach masowego przekazu. Oczywiście pewien wpływ ma na to wizyta premiera Rakowskiego (14—16 lutego) w Paryżu.

● **O PODWYŻKACH CEN**, jeszcze do niedawna, informowani byliśmy pod koniec telewizyjnego dziennika, jak też przez prasę. O ostatnich „regulacjach” dowiadujemy się jednak dopiero przy sklepowej kasie. Przykładem 6 lutego, kiedy to zdrożały m. in. kawa i alkohol, jak również ostatni poniedziałek (13 bm.) — dzień droższego masła, sera, mleka.

● **ŻĄDANIA PODWYŻKI PŁAC**, wsparte strajkami i innymi formami protestu, dochodzą z coraz to innych części kraju. Wałęsa zaapelował o 6

tygodni spokoju dla dobra „okrągłego stołu”.

● **CHYBA JUŻ CZAS NAJWYŻSZY, BY »ODBRĄZOWIĆ« BOLESŁAWA BIERUTA**, ukazać jego rolę w stalinizacji Polski w latach 1944—1955, w sowietyzacji jej ustroju, w szerzeniu terrorystycznych metod rządzenia — powiedziała „Polityce” prof. Maria Turlejska. W publikacji pt. „Czy Bierut był polskim Stalinem?” pomieszczone zostały wypowiedzi wybitnych historyków i polityków.

O prawdziwym wizerunku „towarzysza Tomasza” coraz głośniejszy mówi się i w Lublinie, mieście, w którym się urodził, mieście licznych pamiątek wzniesionych „ku czci”, bądź upamiętniających jego imię. Nurt nieoficjalnych dyskusji zbieżny jest z poglądami prof. M. Turlejskiej, oficjalnie natomiast (przykładem niedawna narada sekretarzy KZ PZPR) panuje wstrzeźliwość.

● **NOWYMI KRESAMI** na wschodzie PRL, albo też „ścianą płaczu”, nazywa „Przekrój” teren sześciu województw: suwalskiego, białostockiego, łomżyńskiego, białkopodlaskiego, zamojskiego i przemyskiego. Charakteryzują się one trwałą i zwiększającą się migracją ludności, drastycznym spad-

kiem narodzin, najniższymi warunkami socjalno-bytowymi mieszkańców, najniższymi dochodami oraz lichą produkcją rolniczą.

● **NA 25 LUTEGO** zapowiedziany został pierwszy przetarg samochodów. W Warszawie „pod młotek” trafi 20 trabantów. Przypomnijmy, że przetarg jest dziś jedyną formą państwowego handlu samochodami osobowymi.

● **METR KWADRATOWY MIESZKANIA** w atrakcyjnym punkcie Warszawy kosztuje do 600 dolarów, w Lublinie: 200—400, w Białymstoku: 150—200, zaś w Białej Podlaskiej przeciętnie 130 dolarów. Oczywiście, powyższe sumy nie pochodzą z żadnego oficjalnego cennika.

● **POLSKIE ZAWODNICZKI** stosują doping ciężowy. Sejmową Komisję Zdrowia poinformował o tym dr Eugeniusz Wachowiak z poznańskiej AWF. „W ostatnim czasie — napisał w swym liście — pojawiło się pojęcie »dopingu ciężowego« rozumiane jako »zapładnianie« zawodniczek w określonym terminie przed zawodami, aby podczas startu wykorzystać jej naturalne, wyższe predyspozycje fizyczno-biologiczne, a po zawodach bez skrępowania przetrwać rozwój płodu. Jak wynika z informacji, »doping ciężowy« znajduje zastosowanie również w naszym kraju”.

relacje z REGIONU

● **MARIA KUNCEWICZOWA** przyjechała w swoim domu w Kazimierzu nad Wisłą attaché Ambasady USA w Polsce, Williama W. Duffy'ego i jego małżonkę. Dyplomata przekazał pisarce najserdeczniejsze gratulacje od ambasadora Johna R. Davisa z okazji ukazania się jej nowej książki — „Listów do Jerzego”. Miłym akcentem wizyty było również wręczenie pani Marii najrozsądniejszej powieści Jerzego Kosińskiego („Pustelnik z 169 Ulicy”) z jego serdeczną dedykacją, w której dziękuje m.in. za pomoc, jaką pisarka otaczała go podczas jego pierwszych lat w USA. Maria Kuncewiczowa zrewanżowała się podobnym gestem, przekazując egzemplarz „Listów do Jerzego” z dedykacją dla pisarza, Williama W. Duffy, przed wizytą u M. Kuncewiczowej, zatrzymał się w Lublinie. Zwiedził b. oboz koncentracyjny na Majdanku, gdzie złożył wianki kwiatów oraz Stare Miasto. Odpowiedział również redakcję „Relacji”.

(wjp)

● **PRZED 45 LATY** w Ostrowie Lubelskim zawiązała się lubelska Wojewódzka Rada Narodowa. Z tej okazji

na 17 lutego wyznaczono, właśnie w Ostrowie Lub., uroczyste posiedzenie Prezydium WRN. Wojewódzkiego Zespołu Poselskiego i Prezydium Rady Wojewódzkiej PRON. W programie, obok wspomnienia wydarzeń sprzed 45 lat, także referat doc. dr hab. Antoniego Pieniżka, przewodniczącego WRN, nt. genezy i rozwoju systemu rad narodowych w Polsce Ludowej.

● **W PODZIEMIACH KOŚCIOŁA SW. ANTONIEGO W BIAŁEJ PODLASKIEJ** — jak informuje „Słowo Podlaskie” — doszło do spotkania bardzo licznej grupy działaczy, członków i sympatyków NSZZ „Solidarność”. Jan Lityński, Henryk Wujec i Tadeusz Kłopotowski, reprezentujący centralne i regionalne struktury tego związku, przedstawili własną interpretację sytuacji politycznej i gospodarczej kraju, odpowiadali na pytania dotyczące m.in. legalizacji „Solidarności” i zadań, które staną przed tym ruchem — w kraju i regionie — w najbliższej przyszłości.

● **DO AKCJI POMOCY OFIAROM TRZĘSIEŃ ZIEMI W ARMENII** włączyli się także — odpowiadając na

prośbę bp Bolesława Pylaka „o modlitwę i pomoc materialną” — wierni Diecezji Lubelskiej Kościoła Rzymskokatolickiego. Z informacji przekazanych nam przez sekretarza Wydziału Duszpasterstwa ks. Adama Firosza dowiadujemy się, że „pierwszą znaczną ofiarę złożyli niewiomei, następnie klerycy, neoprezbiterzy, siostry zakonne, profesorowie i wychowawcy zebrani na Mszy świętej prymicyjnej w kościele seminarijnym”. Za zebrane w diecezji fundusze zakupiono: odzież, obuwie, środki czystości i żywność na ogólną sumę 12 127 140 zł. Dary te zostały przewiezione radzieckim transportem samochodowym do Patriarchy Katolickiej Vasgena I w Echiadzynie. Pozostałe kwoty pieniężne zostały przesłane na pomoc potrzebującym w Armenii za pośrednictwem Komisji Charytatywnej Episkopatu Polski.

● **JABLECZYŃSKI MONASTYR**, zgodnie z postanowieniem Synodu Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego, będzie siedzibą biskupa chełmsko-lubelskiej diecezji tegoż Kościoła. Trwają już stosowne prace przygotowawcze. Pierwszym biskupem nowej diecezji został ksiądz Andrzej Popławski.

● **ZAREJESTROWANE** zostało Towarzystwo Opieki nad Pamiątkami Kultury Żydowskiej w Lublinie. Jego sekretarzem, dr Andrzej P. Przemyski, informuje nas, że towarzystwo „zamię-

rza podjąć na terenie Lubelszczyzny działalność zmierzającą do roztoczenia opieki nad pamiątkami po społeczności żydowskiej [...], organizować obchody znaczących rocznic [...], opracować monografię i propagować uniwersalne wartości wynikające z kilkusetletniego współistnienia na jednym terenie kultur polskiej i żydowskiej”.

● **SĄD WOJEWODZKI** w Lublinie wydał wyrok w trwającym od października 1988 r. procesie 37-osobowej grupy przestępczej, zwanej „ośmiornicą”. A składającej się z 21 włamywaczy, 16 pomocników i paserów. Grupa ta, działająca od grudnia 1981 r. do grudnia 1985 r. w Lublinie i na terenie województw: lubelskiego, tarnobrzesckiego, białkopodlaskiego, zamojskiego, siedleckiego, kieleckiego, olczyńskiego i katowickiego, dokonała 166 kradzieży i włamań do obiektów należących do jednostek gospodarki uspołecznionej, a także do domów, mieszkań i garaży osób prywatnych. Wyrażone szkody oszacowane zostały na ok. 30 mln zł, według cen obowiązujących w owym okresie.

Oskarżeni skazani zostali na kary: pozbawienia wolności w wymiarze od 13 lat do 1 roku, pozbawienia praw publicznych (w różnym wymiarze), grzywny (od miliona wwyż), w stosunku do sześciu oskarżonych sąd orzekł konfiskatę mienia w całości.

Oprac. Zbigniew Miazga

HISTORIA TEGO WIĘZIENIA NIE KOŃCZY SIĘ NA 1944 ROKU

LUBELSKI zamek: najpierw mieszkała tu legenda. Potem były historyczne fakty: w XI—XIII w. warowny gród drewniano-ziemny;

po 1342 r. Kazimierz Wielki wznosił zamek murowany w stylu gotyckim;

około 1520 r. przebudowano warownię, w stylu renesansowym, na rezydencję królewską.

W XVII i XVIII stuleciu, po zniszczeniach w czasie wojen kozackich i szwedzkich, zamek popada w ruinę. Ocalał kościół św. Trójcy z freskami ufundowanymi przez króla Jagiellę i wieża zamkowa.

W latach 1824—26 przebudowano zamek w stylu neogotyckim. Miał być więzieniem. Był więzieniem przez 128 lat: za cara, za sanacji, za okupacji, za demokracji ludowej też.

Idąc tropem tablic pamiątkowych, a jest ich na zamkowych murach trzy, dowiadujemy się kto tu — z godnych pamiętania przez potomnych — odsiadywał wyroki, komu w tym miejscu gotowano krwawą łaźnię, komu zakładano szubieniczną pętlę, albo przeznaczono kule.

okupacji hitlerowskiej. W ciągu niespełna 5 lat więziono tu około 80 tysięcy Polaków. Więźniów bito, torturowano, skazywano na deportację do obozów koncentracyjnych i na karę śmierci. Wyroki wykonywali hitlerowcy przez powieszenie lub rozstrzelanie na dziedzińcu zamkowym; wykonywali je także w okolicach Lublina. 22 lipca 1944 r., kiedy wojska radzieckie i polskie toczyły walkę o wyzwolenie Lublina, Niemcy wymordowali w celach zamku około 400 polskich więźniów.

Wkrótce po ich pogrzebie (28 lipca 1944 r.) znów zapelnili się zamkowe cele. Na lat blisko dziesięć, czyli do czasów fety z okazji jubileuszu PRL, której patronował podstarzały już chłopak z pobliskich Rur Jezuickich, Bolesław Bierut. Wkrótce po tej uroczystości „uchwałą rządu Zamek Lubelski został przeznaczony na cele kultury”.

Jest luty 1989 r. Mija dokładnie trzydzieści pięć lat od likwidacji „polskiego więzienia”. Co dziś wiemy o przetrzymywanych w nim ludziach, co o ich strażnikach, o tym co się naprawdę działo za tym murem?

włączyłbym się do tej sprawy, ale obecnie jestem zajęty”.

Wojewódzkie Archiwum Państwowe w Lublinie. Przeglądam stos teczek opracowanych w grubą tekturę. Napis na pierwszej obwolucie: „Nr teczki 1. Kat. Akt „A”. CENTRALNE WIĘZIENIE w Lublinie. Daty skrajne rok 1945, 1946, 1947, 1948, 1949. Liczba kart 439”.

Pierwszym chronologicznie dokumentem jest Zarządzenie nr 23 Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego z 2 VIII 1945 r. o treści następującej:

„Do wszystkich Naczelników Więzień i Obozów oraz Kierowników Urzędów Bezpieczeństwa Publicznego na terenach przemocą włączonych do Rzeszy i b. wolnego miasta Gdańska.

W związku z ogłoszeniem stosownych rozporządzeń o udostępnieniu możliwości zatrzymanym Volksdeutschem II, III i VI grupy, tzw. Leistungs-Pole i osobom zaliczonym do grup uprzywilejowanych składania deklaracji wierności i wniosków rehabilitacyjnych z miejsca zamknięcia...” — i tu następuje opis procedury.

Następny dokument mówi o urlopach pracowników Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego.

Kolejna karta: „Rozkaz karny nr 16. Sierżant Złotowski Czesław, funkcjonariusz Straży Więziennej Więzienia Warszawa-Praga, złożył w dn. 6 XII 45 r. swojej władzy przelożonej raport o zgubieniu legitymacji służbowej. Faktycznie legitymacja została mu odebrana przez organa Milicji Obywatelskiej w dn. 2 XII 45 r. przy sposobności awanturowania się w sklepiku i odmowy uiszczenia należności za skonsumowaną wódkę. Za wprowadzenie w błąd swoich przelożonych, przez złożenie fałszywego raportu oraz za niedopuszczalne oddanie legitymacji służbowej organom do tego nieupoważnionym rozkazuję: zdegradowanie sierżanta Złotowskiego do stopnia szeregowca, z równoczesnym ukaraniem go 7-mio dniowym aresztem porządkowym.

Dyrektor
Departamentu MBP
(—) D. J. Łańcut pplk”

Także i dalsze strony w niczym nie uzasadniają hasła widniejącego na skoroszycie: „Centralne Więzienie w Lublinie”, a przynajmniej w sposób, jaki to sobie wyobrażałem. Nigdzie ani słowa o tym co działo się na zamku, w dawnej katowni gestapowskiej „Pod Zegarem” i w paru innych jeszcze punktach Lublina, gdzie osadzeni byli więźniowie polityczni i kryminalni. Nie zaniedbałem jednak lektury: druki, maszyny, odręcznie sporządzone notatki opowiadały bowiem w swoisty sposób historię tamtych dni.

Oto Zarządzeniem z 7 X 1946 r. podawano do ogólnej wiadomości pracownikom bezpieczeństwa, że „wyrokiem Wojskowego Sądu Rejonowego w Warszawie funkcjonariusze aparatu Bezpieczeństwa Publicznego Dziegielewski Henryk i Zwinogrodzka Halina za współpracę z obcym wywiadem i zdradę tajemnicy służbowej — skazani zostali na karę śmierci. Wyrok został wykonany”. Dalej następowała informacja o innych pięciu osobach współpracujących z wrogiem, których sprawę przejęła prokuratura wojskowa.

A z tym sąsiadują: „Rozkaz nr 79 o soleniu jarzyn i zapasach kartofli na okres zimowy 1946”, pismo okólne określające tryb przydzielania więźniom okularów, zarządzenie o „wprowadzeniu w użytek nowego wzoru obwolotu do akt osobowych więźniów” i zasadach prania drelichów („do prania jednego kompletu drelichów należy wydawać przy praniu rocznym 60 gramów mydła o zawartości 45 proc. kwasów tłuszczowych”). Funkcjonariuszom bezpieczeństwa rozkazywano też: występować o zezwolenie na zawarcie związku małżeńskiego, niszczyć własnoręcznie wszelkie pozostałe po ich pracy niepotrzebne papiery, natomiast służbie więziennej „bezwzględnie wykonać plan tuczenia w ramach akcji „H”, zwalczając choroby roślin, a rozwijać jak najbardziej uprawę motylkowych”.

Jakością papieru i starannością druku wyróżnia się w tej tece Rozkaz Specjalny ministra bezpieczeństwa publicznego, St. Radkiewicza z okazji

święta 1 maja 1949 r. Przytoczmy fragment:

„Wroć klasowy nie złożył broni. Rozbity i skompromitowany próbuje się ukryć w różnych dziedzinach naszego życia gospodarczego i społecznego. Był jako dywersant polityczny, szpieg, sabotażysta gospodarczy opłacany i kierowany przez anglosaskich imperialistów i podżegaczy wojennych, powstrzymać zwycięski marsz mas ludowych ku Socjalizmowi. Wroć klasowy korzysta również z opieki i poparcia tej części kleru, która przeszła na usługi obcych Polsce interesów, żerując na najdzikszych przesądach i fanatyzmie, korzystając z zatrutej broni prowokacji”.

Na marginesie tego druku odręczny napis: „Przyjąłem do wiadomości i wykonania, 20 VII 49 r.”, podpis nieczytelny.

— Jest pan jedynym znanym mi, który dokumentuje to co działo się na zamku i w miejscach kaźni w Lublinie, w latach 1944—54. Dlaczego?

Adresat pytania, kierownik Muzeum Martyrologii „Pod Zegarem”, Zdzisław Kowalski, wyraźnie ociąga się z odpowiedzią. Wreszcie:

— Bywa, że przychodzą tu ludzie i mówią: „Ja tutaj siedziałem za okupacją, a później za demokracją. Dlaczego nie ma w waszym muzeum nawet śladu tego, co działo się po czterdziestym czwartym?” Mniej więcej przed trzema laty zacząłem gromadzić wspomnienia ludzi osadzonych na zamku, przesłuchiwałem ich tu, „Pod Zegarem”, już po wyzwoleniu. Dlaczego to robię? Jestem historykiem, a przy tym muzealnikiem.

— Jakie są wyniki dotychczasowych pańskich badań?

— Niech pan zrozumie: ani ja, ani nikt, z tego co wiem, nie prowadzi żadnych badań na ten temat. Jedynym co udało mi się do tej pory zrobić, to zebrać kilkanaście relacji byłych więźniów. W archiwum państwowym nie znalazłem żadnych źródłowych materiałów. Zwróciłem się z prośbą o udostępnienie mi archiwaliów Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych, ale jak dotąd odpowiedzi nie otrzymałem.

— Skoro nie można inaczej, odwołajmy się, próbując zrekonstruować wydarzenia z lat 1944—54, choćby do strzępów zebranych przez pana informację.

— Z więźniarskich wspomnień wynika, że najpierw NKWD, a później polskie Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego przejęło zajmowane przez Niemców w czasie okupacji więzienne gmachy i areszty śledcze. Nie z dokumentów, bo ich nie znam, ale z szacunków wynika, że w zamku przetrzymywano więcej ludzi niż w czasie okupacji hitlerowskiej. W pewnej liczbie byli nimi przestępcy kryminalni, ale przeważali żołnierze podziemia oraz ci wszyscy, których określano jednym mianem — wrogowie ustroju. Jakże częste były wypadki, że osoby skazane przez Niemców za działalność konspiracyjną, wracały za te same mury, z tej samej przyczyny. Spuścizną po Niemcach były nie tylko więzienia i areszty śledcze, lecz także i metody przesłuchań. A tortury, jak mi mówiono, były nawet bardziej okrutne. Biciu towarzyszył szantaż wobec rodziny, na porządku dziennym była prowokacja. Szczególnie w aresztach śledczych dochodziło do samobójstw, częściej — do nieudanych prób targnięcia się więźnia na własne życie.

I to są fakty bezsporne, ale jeszcze zbyt mało wiemy, by zapelnąć treścią tę lubelską — jak to się dziś mawia „białą plamę”.

— Skoro wielu dokumentów nie ma, a do istniejących dostęp nie jest łatwy, liczyć można przede wszystkim na ludzką pamięć i chęć pomocy tym, którzy przygotowują świadectwo historii.

— I tym ośmielony zwacam się do czytających te słowa o pomoc w wypełnieniu obrazu więziennego Lublina lat 1944—54. Także w imię tych, którzy przyjdą po nas. Mój adres: Muzeum Martyrologii „Pod Zegarem”, ul. Uniwersytecka 1, Lublin tel. 336-78.

Od Waszego świadectwa, które może być adresowane również na „Relacje”, zależy będzie czy publikacja ta, jakże dalece niepełna, mieć będzie swój ciąg dalszy.

LUBELSKA „BIAŁA PLAMA”

Zbigniew Miazga

Spisane z marurowych płyt.

Z pierwszej:

„W tym budynku w latach 1919—22 i 1924 więziony był przez rządy burżuazyjne Marian Buczek bojownik o społeczne i narodowe wyzwolenie ludu polskiego — płomienny patriota i rewolucjonista, wybitny działacz KPP, poległy w obronie Warszawy 10 IX 1944 r.

Wmurowano w 15 rocznicę bohaterskiej śmierci”.

Z drugiej:

„Bohaterem KZMP, którzy cierpieli i ginęli w murach tego Zamku w walce o wyzwolenie społeczne i narodowe w 35 rocznicę powstania Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej

składa hołd młodzieży z Lubelszczyzny”
Lublin, dn. 6 IV 1957 r.

Z trzeciej:

„Tysiącom ofiar wymordowanych przez zbrodniarzy hitlerowskich na Zamku Lubelskim

składa hołd społeczeństwo Lubelszczyzny”
14 IV 1957 r.

„Wmurowana” historia lubelskiego więzienia jest dalece niepełna, ale z popularnych nawet wydawnictw dowiedzieć się można, że „do cel zamku i wieży wtrąceni zostali przywódcy powstania styczniowego: Leon Frankowski, komisarz województwa lubelskiego, Kazimierz Bogdanowicz, dowódca oddziału partyzanckiego oraz wielu innych powstańców, w grupie których znajdował się także Aleksander Głowacki (Bolesław Prus)”.

Czytajmy dalej: „Podczas rewolucji 1905—1907 roku władze carskie więziły tu bohaterów narodowych, którzy walczyli i ginęli w imię ideałów rewolucyjnych”.

Najpełniej udokumentowany i opisany został najtragiczniejszy okres w dziejach zamkowego więzienia — lata

Uparłem się na ten rodzaj prawdy historycznej, jaki znaleźć można w dokumentach i pamiątkach, w pracowni uczonego. A rezultaty?

Muzeum Lubelskie, bo taką dziś funkcję spełnia zamek, dokumentuje też więzienną historię swych murów, ale tylko do roku 1944. Choć bądźmy sprawiedliwi. Na jednej z plansz, zamykających martyrologiczną ekspozycję, przeczytać można: „Więzienie na Zamku Lubelskim funkcjonowało po wyzwoleniu do 1954 r. W okresie tak zwanych błędów i wypaczeń przez jego cele przeszło wiele osób niesłusznie skazanych i więzionych, zrehabilitowanych po 1956 r.”. I to wszystko.

Profesor Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Zygmunt Mańkowski, specjalizujący się w historii najnowszej, redaktor wydanej ostatnio monografii „Hitlerowskie więzienie na Zamku w Lublinie 1939—44”, powie mi:

— Nie, nie podejmowałem tego tematu. Nie słyszałem też, aby ktoś inny badał lata czterdzieste cztery — pięćdziesiąt cztery w interesującym pana kontekście...

Ale od profesora wychodziłem nie całkiem z pustymi rękami. Otrzymałem potwierdzenie, że pierwsza masowa egzekucja na żołnierza polskiego podziemia, a konkretnie: Armii Krajowej, miała miejsce w zamku już w grudniu 1944 r., kiedy więzienie to znajdowało się jeszcze (do lutego 1945 r.) w rękach NKWD. Groby ofiar „odnaleziono” zostały w 1980 r. na cmentarzu przy ul. Unickiej. Natomiast pierwsza „polska” egzekucja miała miejsce w marcu 1945 r., kiedy to wykonano wyrok na 11 uczestnikach rzekomego — jak się miało okazać — zamachu na Osóbkę-Morawskiego. „Czas już najwyższy — usłyszałem od profesora przy pożegnaniu — zająć się tym tematem. Są na pewno jakieś archiwalia, ale najlepiej gdyby zaświadczyli chcieli świadkowie tamtych dni: więźniowie, strażnicy, adwokaci i sędziowie występujący w tych procesach. Ja osobiście chętnie

„DŁUŻSZY POBYT W ROSJI SOWIECKIEJ NIE WYSZEDŁ MU NA DOBRE...”

ŻYWIOT JÓZEFA ŁOBODOWSKIEGO (3)

Józef Zięba

PROKURATOR wszczął nowe postępowanie przeciw Łobodowskiemu, już nie tylko jako redaktorowi odpowiedzialnemu, ale i autorowi zamieszczonych w „dwutygodniowym dodatku” do „Barykad” tekstów. W sporządzonym akcie oskarżenia wymieniono wiele przestępstw. I tak:

„1) w artykule pt. »Eksplozja rzeczywistości«, w którym:

a) wskazując na nędzę mas robotniczych, krzywdzonych i wyzyskiwanych, publicznie nawołuje do popełnienia przestępstwa przez zmianę przemocą ustroju Państwa Polskiego — czyli o czyn przewidziany w art. 154 § 2 kk.

b) przytoczył fałszywe wiadomości, mogące wywlać niepokój publiczny, o fałszywych bitwach, staczanych rzekomo przez wojsko z powstańcami chłopskimi na Wołyniu i Polesiu — czyli o czyn przewidziany w art. 170 kk.

2) [wiersz] pt. »Raz ostatni«, w którym:

a) znieważył Polskie Godło Państwa słowami »gdy ci wskażą na białego orla, to wyzysk i nędza i bat« — czyli o czyn przewidziany w art. 153 kk.

b) publicznie nawoływał żołnierzy do popełnienia przestępstwa przez odmówienie posłuszeństwa podczas wojny słowami »złamcie karne dotychczas szeregi, kiedy armatniego mięsa łowca wyjdzie do was i pokaże stalowym bagnietem na Królewiec, na Morskę, na Berlin« — czyli o czyn przewidziany w art. 154 § 1 kk.

3) pt. »Rachunek sumienia«, w którym publicznie znieważył Urząd Starościński w Lublinie słowami »żeby tepe satrapy wiedziały, że gwizdźmy na ich wszechwładzę«, czyli o czyn przewidziany w art. 127 kk.”.

Nazbierało się więc sporo artykułów i paragrafów, które groziły poważnymi konsekwencjami. Szczęściem było to, że sąd rozpatrywał cobydwie sprawy — miesięcznika i dwutygodnika — oddzielnie.

Pierwsza na wokandę sądową trafiła sprawa „dwutygodniowego dodatku”. Po jej rozpatrzeniu Sąd Okręgowy w Lublinie wydał 23 sierpnia 1933 roku wyrok skazujący Łobodowskiego na łączną karę dwóch lat i sześciu miesięcy aresztu. Zwolniono go jedynie od opłat sądowych, ale cały nakład czasopisma uznano za przepadły. Bardzo interesujące jest uzasadnienie tego wyroku. Oto najciekawsze fragmenty:

„Oskarżony Józef Łobodowski po powrocie do Polski z Rosji Sowieckiej w 1922 roku, gdzie przebywał od roku 1914, poświęcił się pracy literackiej, uzupełniając równocześnie w szkołach polskich zasób swych wiadomości. Dłuższy pobyt Łobodowskiego w Rosji Sowieckiej nie wyszedł mu na dobre, bowiem zapoznawszy się tam z ustrojem bolszewickim, stosunkami i instytucjami tamtejszymi, po przyjeździe do Polski rozpoczął ostrą krytykę układu stosunków polskich pod względem prawnym i społecznym oraz wyraził dążenie do przekształcenia życia polskiego na wzór bolszewicki. Wprawdzie Łobodowski oświadczył na przewodzie sądowym, że jego ideologia tylko zbliża się do komunizmu, jednakowoż prace jego literackie nosiły zbyt wiele znamion przestępczych, by mogły ująć uwagę władz odnosnych. Dla wyświeślenia swego »credo politycznego« Łobodowski w artykule »Rachunek sumienia« poświęcił znaczny ustęp, w którym śmiało wypowiada swoje poglądy i nierawiści do dzisiejszego ustroju i społeczeństwa (ustęp od słów: »A teraz kilka słów o własnej personie« do końca artykułu). Rzeecz oczywista, iż tego rodzaju ustosunkowanie się do przejawów życia polskiego jak i utrzymy-

wanie kontaktu z wybitnym działaczem K.P.P., Szmulem-Berem Mejersem, musiały zwrócić uwagę władz śledczych na osobę Józefa Łobodowskiego, zwłaszcza energia i zdolność tego ostatniego budziły obawę łatwego rozszerzenia się poglądów Łobodowskiego na osoby, które z nim się stykały. [...] Przechodząc do określenia wymiaru kary Sąd miał na uwadze: wiek młody oskarżonego (lat 23), stosunki jego osobiste, rodzinne i społeczne; uprzednie postępowanie karne przeciwko niemu w związku z zarzuceniem mu przestępstw podobnego rodzaju; nieokazywanie poprawy pomimo wszczętych już uprzednio dochodzeń; brak skruchy w toku wyjaśnień składanych na przewodzie sądowym; charakter przypisywanych mu przestępstw; rozmiar szkody wobec rozpowszechnienia znacznej ilości egzemplarzy czasopisma »Barykady«; wreszcie znaczne napięcie złej woli,



Karykatura J. Łobodowskiego z lat 30. Rys. Henryk Donga. Ze zbiorów Muzeum J. Czechowicza w Lublinie.

Repr. Waldemar Stępień

przejawiające się w przewidywaniu, iż czasopismo będzie skonfiskowane i wyszukiwanie specjalnych dróg, by dotarło do czytelników.

Z tych wszystkich względów sąd uznał za słusze i sprawiedliwe zastosować w danym wypadku średni wymiar kary”.

Łobodowski zgłosił na sali sądowej apelację. O obronę przed Sądem Apelacyjnym poprosił swego przyjaciela, mecenasa i poetę, Konrada Bielskiego. Sąd Apelacyjny na rozprawie 13 listopada utrzymał wyrok Sądu Okręgowego, ale zmniejszył karę do lat dwóch i zawiesił jej wykonanie na lat pięć. Zwolniono Łobodowskiego od wszelkich opłat sądowych, ale zastosowano, jako środek zapobiegawczy, kaucję w wysokości 200 złotych, która założona została przez inną osobę. Miał więc poeta jakichś zasobnych protektorów, którzy czuwali, by nie stała mu się zbyt wielka krzywda.

CZEKAŁA go jeszcze druga rozprawa sądowa. Tym razem jako redaktora odpowiedzialnego drugiego numeru miesięcznika „Barykady”. Akt oskarżenia dostarczono mu 26 czerwieca 1933 roku. Prokurator oskarżał go, że jako redaktor odpowiedzialny w

zamiarze rozpowszechnienia umieścił dwa artykuły: „palarnie opium” i „noty”, w których lży prawnie uznane wyznaczenie Kościoła rzymskokatolickiego, „jednak rozpowszechnienie tych artykułów nie nastąpiło z powodu zajęcia nakładu przez władze bezpieczeństwa, czyli o czyn przewidziany w art. 23, 173 k.k.”.

Przesłuchany Józef Łobodowski nie przyznał się do winy lżenia religii rzymskokatolickiej. Marian Plizga nie został odnaleziony. „Gazeta Siedzka” ogłaszała za nim list gończy w numerach z 19 lipca, 16 sierpnia 1933 roku i jeszcze 25 stycznia 1937 roku. Łobodowski nie mógł się więc długo do swego pseudonimu przyznawać, gdyż groziłaby mu, jako autorowi, kolejna rozprawa sądowa.

Stanął przed sądem 29 listopada 1933 roku. Na rozprawie powtórzono zarzuty postawione w dostarczonym mu przed pięćmiu miesiącami akcie oskarżenia. Sąd Okręgowy postanowił Józefa Łobodowskiego „uznać winnym dokonania zarzucanego mu przestępstwa i na mocy art. 23 § 1 i 173 k.k. skazać na jeden (1) rok więzienia; od opłat sądowych oskarżonego zwolnić, zaś kosztą postępowania przyjąć na rachunek Skarbu Państwa. Na mocy art. 50 § 1 k.k. dowód rzeczowy — trzysta pięćdziesiąt (350) egzemplarzy miesięcznika »Barykady« nr 2, z listopada 1932 roku — uznać za przepadłe. [...] Przechodząc do wymiaru kary i biorąc pod uwagę,

Lublina wyrządził stróżę prawa, aniżeli trochę zbuntowany, światobórczo nastawiony do otaczającej go rzeczywistości młody poeta.

Nie był to jednak ostatni kontakt Łobodowskiego z wymiarem sprawiedliwości, o czym za chwilę.

W październiku 1933 roku został powołany do służby wojskowej i przydzielony do podchorążówki w Równem. Tam spotkał Zuzannę Ginczankę, której po latach poświęcił tom „Pamięci Sulamity”, i poetę Jana Spiewakę, z którym dość często się później spotykał. W tomie „Przyjaźnie i animozje” Spiewak wspominał:

„Pewnego dnia Józek nie przyszedł. Umówił się na wieczór i nie przyszedł. Nazajutrz wieczorem usłyszałem nerwowe bicie do drzwi, wpadła gromadka jego przyjaciół. Opowiadali urywanymi zdaniem: »wiesz... Józek... wchodzę do sali, widzimy... Józek, na podłokoszu nakreślił nad sercem krzyżyk, trzyma wycelowany flower, podbijam flower, Józek nacisnął spust, kula przeszła obok serca, ale ugrzęzła w ciele...«.

Więcej nie przychodzili. Rzeczywiście chciał popełnić samobójstwo, ponoć z miłości do jakiejś dziewczyny z Lublina. Kuli nie wydobyto, wyleciał z wojska. Z Lublina otrzymałem list, że ma zamiar wydawać tam pismo literackie. Nic z tego nie rozumiałem”.

Po latach Łobodowski tak wspominał znajomość z Ginczanką: „Po wieczorze spędziłem kilka godzin w towarzystwie Zuzanny. W roku 1936 przybyła, jako się rzekło, na studia do Warszawy. Otworzył się nowy rozdział. Krótki, ale intensywny.

Myląc zasadnicze daty, Spiewak zapamiętał jednak to i owo. »Znajomościem Józka z Zuzanną — wspomina — odtąd rozdawał się, często przepadał u niej na gorze. O czym rozmawiał z Ginczanką? Myślałem, że kocha się w niej... Rzeczywiście — o czym? Ech, nieżyjący Jasiu! O czym dwudziestoczworoletni poeta może rozmawiać ze szesnastoletnią dziewczyną, której podobają się jego wiersze?».

Według relacji żony poety, przyczyną próby samobójstwa były prześladowania jakiegoś zawodowego sierżanta. Sierżant-prześladowca zjawiał się na sali w momencie, gdy Łobodowski miał już wycelowany w swoją stronę karabin; zdołał wytrącić broń, ale padł strzał. Niedoszłego samobójcę aresztowano i postawiono przed Wojskowym Sądem Okręgowym w Lublinie, lecz wskutek interwencji zanych literatów, m. in. Kazimierzy Illakowiczówny i Ewy Szelburg-Zarembiny, został zwolniony z wojska.

Nie zachowały się akta Wojskowego Sądu Okręgowego w Lublinie, ale do akt prokuratora Sądu Okręgowego dołączono pismo kwatermistrza 45 Pułku Strzelców Kresowych informujące, że Łobodowski — zwolniony z Dywizyjnego Kursu Podchorążych Rezerwy i odesłany 27 lutego do 45 Pułku jako macierzystego — został 10 marca 1934 roku aresztowany i odstawiony do wojskowego więzienia śledczego w Lublinie, a 13 marca 1934 roku wykluczony na okres pięciu lat ze służby wojskowej.

Pismo kończy się stwierdzeniem: „W czasie pełnienia służby wojskowej w 45 Pułku Strzelców Kresowych nie popełnił żadnego przestępstwa, podlegającego orzecznictwu sądowemu”.

W dokumencie tym nie ma więc żadnej wzmianki, z jakiego powodu Łobodowski został aresztowany i wykluczony z wojska. Ważna jest data aresztowania — 10 marca 1934 roku. W tym dniu odbył się słynny wieczór najazdu poetów awangardowych na Warszawę. Nazwisko Łobodowskiego znajdowało się na afiszu. Nieobecność jego zaniepokoiła warszawskie środowisko literackie i nastąpiła natychmiastowa interwencja dwu wpływowych pań, ponurzonych losem młodego poety.

Według zachowanych dokumentów, uwięzienie Łobodowskiego nie trwało dłużej niż trzy dni, ale poeta później jeszcze często na przeżycia więzienne się powoływał, twierdząc, że wówczas miał się dokonać przełom w jego życiu, prawie jak w celi Konrada.

(cdn.)

DANE o liczbie młodocianych samobójców w Lublinie, dawniej szczególnie skrzyżowane, są rozproszone. Częścią dysponuje Instytut Psychiatrii Akademii Medycznej, częścią WUSW, częścią Klub Niedoszłych Samobójców na Czechowie. Dane o liczbie narkomanów gromadzą w miarę precyzyjnie: Towarzystwo Zapobiegania Narkomanii i Monar. Istnieją statystyki (ogólnopolskie) dotyczące emigracji młodych na Zachód oraz liczby wyroków zapadających przed sądami dla nieletnich. Danych o konfliktach rodzinnych, o czternaście-, piętnaście-, szesnastoletnich matkach, ucieczkach z domu, załamaniach nerwowych — brak. Wiadomo tylko, że skala tych zjawisk rośnie. Czy zatem polska młodzież znalazła się na rozdrożu?

Konflikt pokoleń istniał od zawsze, przekonanie o wyjątkowości czasu, w którym dana generacja żyje, także, a jednak ostatnie opracowania socjologiczne ujawniają trudne do podważenia fakty. Nasz fin de siècle jest czasem wyjątkowym. Dwie trzecie dorobku techniczno-cywilizacyjnego ludzkości przypada na nasz wiek (w tym 70 proc. na jego drugą połowę). Wynikające stąd: syndrom świata-wioski, natłok informacji i mnogość analiz uniemożliwiły nasze zdolności do syntezy; potężna, niedoceniana przez świat dojrzała subkultura muzyki pop wyznaczyła trwałą pokoleniową cezurę; ekonomia i emancypacja wykoślawiły już wcześniej nasze dzieciństwo; manipulacje światopoglądowe pozbawiły nas woli; reklama odebrała nam gust; masowość życia — poczucie indywidualnej wartości. Świat rozkrojony na dwie połowy, trzymający na uwierzy naturalne dla człowieka odruchy walki fizycznej (pokój też ma swoją cenę) eksploatował małą agresję — futbolowymi fanami, frakcjami rewolucyjnymi, rockersami i skinheadami.

Takie socjologiczne oczywistości można mnożyć. Dotyczą one tzw. wspólnego worka. Jest jednak i specyficzny „polski worek”. Gwałt wojenny i tuż powojenny zadany Polsce podważył sens wychowania patriotyczno-narodowego, wygasił entuzjazm propaństwowym, a ciasny gorset szansa na konsumpcyjny komfort popchnął nas ku orientacji wyłącznie materialnej. Wygasł czryw czasów odbudowy, zblakły kombatanckie miły, umknęły nadzieje na wspaniałe — nowe. Inne mechanizmy — znamy.

Młodzież trzech lubelskich liceów chętnie przyznaje się do słabości. Nawet jakoby nazbyt chętnie, a jej przyczyn upatruje albo w łatwości życia, zapewnianej nienaturalnym wysiłkiem rodziców, albo w wynaturzeniach rodziny, prowo-

kujących do agresji. Zauważa także pustkę ideologiczną i brak perspektyw. Szkoła zajmuje w tych wypowiedziach specjalne miejsce.

„Popularna teza, że szkoła preferuje średniaków — mówi Anka z II LO im. J. Zamojskiego — to niebezpieczne uproszczenie. W istocie kształtuje ona identyczne postawy jak te, które obowiązują w świecie ludzi dorosłych —

le jest dwóch lub trzech nauczycieli, którzy wierzą w to co robią, ksiądz jest słodki aż do młodości, państwo ma nas gdzieś, w rodzinie nie ma czasu na takie głupstwa jak dzieci. Trzeba walczyć o byt, o wędlinę na święta, o wódkę na imieniny, o telewizor. Pozostaje tylko dziewczyna i Jarocin”.

MIMO podobnych, niepokojących opinii, nie utraciliśmy jeszcze sporej grupy tzw. normalnych, porządnych gimnazjalistów, wierzących

nia za „fuchami”, a na matki „załatwiania” podstawowych produktów koniecznych do życia, zachwiałym proporcjami między pracą, a wypoczynkiem, nie mówiąc już o relacji pomiędzy ucziwą płacą a solidną pracą (co mogłoby ułatwić harmonijny rozwój życia rodzinnego). Życie rodziny toczy się wokół nie powiązanych ze sobą indywidualnych interesów jej poszczególnych członków.

Samotność to najczęstsze tło bytowania współczesnych młodych ludzi. Rozmiary tej samotności bywają tragicznie rozległe. Język, którym próbują się porozumiewać pokolenia, pochodzi z dwóch różnych światów. Tak jak szokiem pokoleniowym stało się w latach 50. pojawienie się muzyki pop, tak obecnie szokuje rosnąca agresywność slangu — czynniki pogłębiające pokoleniową lukę. Patriarchalne zakazy lub nakazy utłościane są z nowoczesną otaczającą młodego człowieka ze wszystkich stron. Moda na uczuciową rezerwę, charakteryzująca starsze pokolenie, rodzi z kolei podejrzenia o odtraćenie, a nawet o brak życzliwości.

„Słyszałem, jak kiedyś ojciec mówił matce, że mnie kocha, tylko na swój sposób — mówi Jarek z II LO. — Jakże są u licha sposoby kochania? Czy oni boją się utracić godność, jeśli okażą nam czasami odrobinę wsparcia?”

Relacje wewnątrzrodzinne uległy podobnemu awichrowaniu, jak relacje ogólnospołeczne.

Młode pokolenie wchodzi w życie coraz trudniej. Brak identyfikacji grupowej, poczucia przynależności do szerszego gremium potwierdziły zarówno badania naukowe, jak i szereg innych badań nad stanem świadomości młodzieży. Młodzi ludzie ogarnięci frustracją, bądź ustawicznym buntem stanowią marną gwarancję wypełnienia przyszłych obowiązków wobec kraju. Ambicje robienia kariery, charakterystyczne dla młodego pokolenia lat 60. (bez względu na ich pejoratywną ocenę przez społeczeństwo), ustąpiły miejscem całkowitej negacji. Hamowane przez lata tendencje do udziału w nowoczesnych modach młodzieżowych, umocniły pragnienie bezkrytycznego naśladowania i pogłębiły jeszcze polskie komplekсы zaścianka. Tłumienie ciągłe do nieformalnych stowarzyszeń, naturalnych więzi zepchnęło młodzież w podziemny egocentryzm.

„Straconych” pokoleń świat naliczył już kilkanaście. Tymczasem takich pokoleń nie ma. Istnieją tylko stracone jednostki, stracone szanse i stracone nadzieje. Czy wzbogacanie tej statystyki musi być naszą narodową specyjalnością?

KONDYCJA MŁODYCH

Wiesław Horabik

cwaniactwo, przebiegłość, chamskie rozpychanie się łótciami, niewiarę w odruchy idealne. Nadwrażliwość naszych nastu lat jest systematycznie zdeptywana. Teraz albo się jest silnym i wszystko gra, albo wędruje się na margines słabości. Proces ten jest o wiele bardziej drapieżny niż w przypadku naszych rodziców. Silni, po ukończeniu szkoły, zakładają szklarnie, uciekają na Zachód, robią, albo przynajmniej chcą zrobić kariery. Słabsi, ta zahukana większość, szukają różnych ucieczek, najczęściej równie beznadziejnych, jak jej początkowy idealizm”.

Marek z I LO im. St. Staszica: — „Nasza egzystencja dzieli się na dwie sfery, na sen i jawę. Sen — to muzyka, której słucham, dopóki starzy nie wrócą do domu: dobra, ostra, moja własna. To także dziewczyna, która, tak jak ja, ma gdzieś cały ten kit. To czasami jeszcze jakaś dobra impreza. To również, dajmy na to, Stachura czy buddyzm. Jawa — to równiutko poustawiane rzadki ławek, ręce mi wymanowią, lekcje zadawane od — do, wszelkie spedy i dobre rady, kłótnie starcy, wojenne wspomnienia dziadka”.

„Nie ma do kogo się odwołać — Andrzej IX LO im. M. Kopernika. — Kumpie myślą tylko o sobie, w szko-

nał w sens zdobywania wykształcenia, w wartość intelektualnego awansu, w tradycyjne normy zachowań. Ale przy utrzymaniu dotychczasowej, ciasnej struktury wykształcenia, znajdujemy się na najlepszej drodze do utraty tego potencjału. Stresy wynikające z kontrastu między rzeczywistością, a uczniowskim stylem bycia rosną.

Puchną także w naszym kraju statystyki rozwojowe. Proces ten, jak się wydaje, będzie postępował jeszcze szybciej. W przewrotny sposób dotyka on najbardziej pokolenie gierkowskie; ludzie, których młodość upłynęła pod znakiem rozbudzonych nadziei na normalność, na szybki materialny i zawodowy awans, na rozmach życia. Pokolenie dzisiejszych rodziców „epoki hippisowskiej” było chyba jedynym po wojnie polskim pokoleniem bezroski. Pozbawione cech rewolucyjnych od dawna lansuje postawę szybszej ucieczki od problemów. Prawda ta dotyczy szczególnie tych środowisk inteligentkich, w których najsłabsze okazały się hamulce natury religijnej czy obyczajowej. (Konserwatywna wieś i purytańskie tradycje moralności robotniczej trzymają się mocniej). Warunki ekonomiczne zmuszające już nie tylko kobiety do podejmowania pracy, ale nakładające na ojców konieczność gania-

CO MOGĘ ZROBIĆ? PÓJŚĆ DO RAKOWSKIEGO I KRZYCZEĆ, ŻE NIE CHCĘ TAK DŁUŻEJ ŻYĆ?

PRZYSZŁY HISTORYK PATRZY W PRZYSZŁOŚĆ

Zbigniew Dzieciotek

GDYBYM miał jeszcze raz podjąć decyzję o wyjeździe?

„Nie zastanawiałbym się ani chwili — mówi Krzysztof B. lat 28, inżynier elektryk, absolwent Politechniki Wrocławskiej. [...] Dziecko ma przez okrągły rok soczki, witaminy, banany, pomarańcze, dobrą opiekę lekarską, żona nie musi wystawać godzinami w kolejkach. [Wynajmuje mieszkanie, ma samochód i co miesiąc wysyła rodzinie w kraju 100 marek — przyp. aut.]. Czy miałbym szanse w Polsce osiągnąć to wszystko w ciągu trzech lat?” („Polityka” sierpień 1988 r.)

Staram się nie zastanawiać, co będę robił po skończeniu studiów. Kiedy zdawałem na historię, myślałem tylko, jak uciec od armii i wy dostać się z wiejskich opoleń. Śmiechał. Był młodo. Dziś, po czterech latach nauki, znovu

znalazłem się w punkcie wyjścia, tyle że bogatszy o kilka pytań.

Skończyć studia i wrócić na wieś belfrować? Nigdy! Nie po to się wyrwałem do Lublina, żeby teraz wracać. Staruszkowie byłiby pewnie zadowoleni: zawsze to w domu, a i w polu miałoby kto pomagać. Jeszcze teraz mi wymawiają, że nie poszedłem na rolnictwo. Ale co ja bym tam robił? Widziałem: oni całe życie ryli w tej ziemi i niczego się nie dorobili. Swinia, krowa i walała się obora, to cały ich dobytek.

Nieprawda, że marzy mi się łatwy chleb; że nie chcę, czy nie umiem pracować. Umieję, ale musi się to odbywać w normalnych warunkach, a koń jaki jest, każdy widzi. Swobody demokratyczne, zmiany przepisów prawnych... To wszystko brzmi bardzo pięknie, ale reformę oglądam przez pustą kieszeń i takie same półki sklepowe. I niech mi nikt nie wmawia, że lepsze jutro budujemy dzisiaj.

„Ponad dwukrotnie przekroczoney został dopuszczalny poziom opłacania wzrostu wydajności pra-

cy, ponad trzykrotnie — dopuszczalny wzrost emisji pieniądza. Zapasy towarów kształtują się na poziomie dwukrotnie niższym od poziomu niezbędnego do prawidłowego funkcjonowania sprzedaży detalicznej. Absurdalna wielkość osiągnął kurs walut obcych w stosunku do złotego... W obecnej wersji przewiduje się, że... przyrost emisji pieniądza bez pokrycia, czyli bezwartościowego papieru, miałby wynieść 1 200 mld zł”. („Tygodnik Powszechny”, styczeń 89 r.)

Rabunkowa gospodarka, błędne decyzje ekonomiczne i gospodarcze doprowadziły do sytuacji, w której cały kraj ulega zastraszającemu zniszczeniu i dewastacji. Obok pytania „jak żyć?” coraz częściej pojawia się pytanie „gdzie żyć?”. To nie jest myślenie na pokaz: jaki to ja jestem troskliwy o stan naszego środowiska. To raczej wynik zwykłego egoizmu, myślenia o sobie i

swoich najbliższych. Wystarczy przeczytać w gazetach o tym, co dzieje się na Śląsku. Jakby tego wszystkiego było mało, minister Wilczek chce nas jeszcze uszczęśliwić siecią elektryczną atomowych w całym kraju. Dajdzie niedługo do tego, że „zieloni” czy „pomarańczowi” nie będą już potrzebni, a powiedzenie Miłkowskiego „róbny swoje” straci zupełnie sens. Nie będzie po prostu gdzie robić.

Mówiło się kiedyś, że młodzież jest przyszłością narodu, że to ona będzie kształtowała obraz Polski. Czy w obecnej sytuacji nie brami to jak niesamowity żart? Co można ofiarować ludziom? Można im zaproponować Komitet do spraw Młodzieży, a że on niczego nie zmieni i w niczym nie pomoże, to już inna para kaloszy. Ja nie wymagam, żeby urząd wszystko za mnie załatwił, podał na talerzu, ale przecież od czegoś w życiu trzeba zacząć, mieć jakiś punkt oparcia: własne mieszkanie, kąpiel do którego można wrócić.

Dokończenie na str. 6

NIEWATPLIWIE jedną z najciekawszych odmian gwar śródo-wiskowych jest język grup koleżeńskich, a wśród nich gwara studencka. Jej słownictwo ma charakter emocjonalny i nie wynika z potrzeb wyjątkowo komunikacyjnych. Rodzi się tam, gdzie właściwie nie zaistniała konieczność tworzenia czegoś nowego. Co to znaczy? Jeżeli, na przykład, charakteryzując wygląd zewnętrzny kobiety, powiemy o niej, że ma duży biust, to tę samą informację możemy przekazać w formie ekspresywnej, synonimicznej: bar mleczny, bufory, dolina miłości, klatka z piersiami, oczy duże niebieskie, podwozie, jajka sadzone, wyższe wykształcenie, biustwo, wysoka cywilizacja, talent filmowy etc.

Dokładność znaczeń jest tu czymś drugorzędym. Naczelną zasadą, która rządzi powstawaniem synonimów, stanowi dążenie do maksymalnej ekspresywności słowa, łączącej się nierozdzielnie z elementami zabawy i dowcipu językowego. Dobrym przykładem tej mozaiki gwarowej są wyrazy i wyrażenia związane z alkoholem. I tak picie alkoholu to: czczenie Bachusa, dawanie sobie po kubku, podliczanie procentów, uzupełnianie wilgotności. Po jego spożyciu lub w trakcie spożywania jest się: cztery razy w sztafecie, na orbicie, w pozycji horyzontalnej, jedzie się na dwóch gazach, nosi filcowe okulary, odwała Rejtana, wchodzi się w nirwanę. Ten, który pije lub jest pijany, to: radioaktywny, chłapimorda, chodząca knajpa, marynarz słodkich wódek, pijanista, pijar, schlanow, stu-procentowy mężczyzna itp. Określenia dotyczące biesiady alkoholowej są nie mniej zabawne: bankiet, dożynki, nieurodziny, wieczór alkoholowo-seksualny, bar wzięty. Napitki, które się spożywa przy tego rodzaju okazjach, to: paliwo, szczepionka, akwawita, bimbromycyna, boży deszcz, mleczko od wścieklej krowy, pokrzepicielka, korsarski rum. Mają też swoje nazwy poszczególne gatunki wódek. Jarzębiak np. to: Jaś wędrowniczek, szary brandys; słodki likier to: ciumbalajka, a mieszanka alkoholowa to: nagła śmierć, lub, bardziej rodzinnie: tata z mamą.

Jak Polska długa i szeroka, żadna libacja nie odbywa się bez wznoszenia toastów. Nie brakuje ich też w słowniku studenckim: bęc go w migdał, aby krzyk dał: czyn, czyn; mało se tu; na cześć tabliczki mnożenia; nie pij tyle, pij więcej; orły do boju; pijmy, bo śledź pomyśli, że go pies zjadł; sursum korda; wypij dzisiaj, jutro będziesz wypoczęty; za dzieci, kaleki i starców; za zdrowie babci nieboszczki; żeby nasze dzieci nie miały ojców pijaków; wypijmy, bo gęś pomyśli, że ją świnią

zjadła; żeby nasze dzieci nie piły takiego świństwa jak my; niech ci gwiazda pomyślności w dzieciach wynagrodzi.

Kac po przepiciu to: cholera azjatycka, lub, eufemistycznie: dyskomfort w ustach, a izba wytrzeźwień, do której też można trafić, jawi się jako: dom spokojnej trzeźwości, garnizonek, lub dom Matysiaków.

Przy ocenie socjologicznej tego zjawiska należy przyjąć pewną poprawkę. Jest to, jak sądzę, rodzaj manieri, po-zy, przejawiającej się dobitnie w sposobie wypowiedzi, w języku. Mamy z tą manierą do czynienia nawet wtedy, gdy nie jest ona odzwierciedleniem wewnętrznych przekonań o sposobie bycia i zachowania. Toteż nie należy studenckiej gwary interpretować dosłownie, bo tak rozumując, można dojść do wniosku, że studenci to jedna wielka banda pijaków, którym wódka zrobiła wodę z mózgu.

Części ciała, ubioru, czynności życiowe i psychologiczne, cechy charakteru czy postawy wobec otoczenia określane są terminami, które można sprowadzić do szeroko rozumianego pojęcia „człowiek”. Mężczyzna określane jest mianem fakira, fafla, leona, miłkołajka, romeja, facia, ciećwierza, dodupisty, szweja, klarmeta, drobnego szakala czy mrówki-kutusówki. Natomiast kobieta to: kobieć, rozwiłtka, bejby, cipcia, dziunia, lasiczka, laska, władza zła lady, babiszcze, franca obła, rura, koleżanka czworonożna.



Fot. Waldemar Stępień

Każdy człowiek ma twarz, czyli cyferblat, elewację, japońską, kubek, patelnie, pociwiarz. Patrzy na świat: galami, lustrzankami, pinetkami, zdarza się, że ma nieporozumienie w oczach. Nos to: dwururka, fagot, gasidło, syfon, mikro-manipulator, alkoholomierz. Wszyscy poruszamy się na dwóch nogach. Ich wygląd, kształt to również cała gama odcieni wyrazowych: kindzały, protezy, kwanty, bufory, rozkosz w nawiasie, „u” kreskowane, tramwaj przejedzie, szlabany, czy określenie w formie frazy: cienkie jak patyczki, to są nogi plastyczki. Plastyczka, bądź też inna uniwersytetka, może być długa jak

PRZYKŁADY takich kombinacji językowych można mnożyć w nieskończoność. Pisać o bluzce-kwartalce, artykułach sekstylnych, czapeczce dla bliźniąt, kurwatce czy rzezy rytualnej przy gołeniu. Zawsze jednak jest to doskonała zabawa językowa. Owa zabawa ma w sobie również elementy praktycyzmu „zdrowego” spojrzenia na świat. Z kpina traktuje się ludzi nieuczynnych i samolubnych: izolator, prywatna inicjatywa, samotny biały żagiel, wypierdek mamuta, bądź w kształcie zdania: stary, o tobie tylko Wasserman dodatnio się wyraża. Te-pota umysłowa również nie należy do

O CZYM

Zbigniew Dzięciołek

miesiąc, a chuda jak pensja, lub, jak kto woli z przemysłu zapalczanego. Krótsze nazwy, to pierścień i płasko-rzeźba. Jeżeli już mówimy o kobietach, na widok których można rozhuścić się hormonalnie, to podział płci pięknej na kategorie wiekowe przedstawia się następująco: sralki, grzałki, ulegalki. Wśród tych ostatnich zdarzają się też nadwyżki; statystyczne, czyli stare panny.

uprzywilejowanych zjawisk w życiu studenckim. Takie określenia jak: ebonit; bystry jak woda w kłozecie; nadaje się tylko do skrobania pyrów; wesoły, choć goły; głupi ale zdrów; dziewczyna filozoficzna; kompletny bezokolicznik; niedobór intelektualny; zero-morfologiczne; zdolny, tylko pamięci nie ma; grozi mu ostre, głupekowate zapalenie tkanki głowowej — w sposób

PRZYSZŁY HISTORYK PATRZY W PRZYSZŁOŚĆ

Dokończenie ze str. 5

„Oblicza się, że zaspokojenie tylko najpilniejszych potrzeb mieszkaniowych wymaga zwiększenia produkcji mieszkań do takiej liczby, aby w 1995 roku budować 400 tys. rocznie. Ponieważ obecnie oddaje się ich nawet nie 200 tys., w najbliższych ośmiu latach budownictwo powinno zwiększyć produkcję ponad dwukrotnie. Trzeba być naprawdę niepoprawnym optymistą, by uwierzyć, że tak się stanie”. („Konfrontacje”, lipiec — sierpień 1988 r.).

Gadanie o zaciśnięciu pasa, o potrzebie wyrzeczeń i zrozumienia trudności obiektywnych przestało mnie już bawić. W imię czego muszę płacić za coś, co nie zostało przeze mnie zawinione? Co mogę zrobić, żeby było inaczej, lepiej? Pójść do Rakowskiego i krzyknąć, że nie chcę tak długo żyć, czekać w nieskończoność na własne mieszkanie, a w wieku 60 lat, jak dobrze pójdzie, kupić sobie „malucha”? Nonsens! To błędne koło.

„W 1986 r. tylko 5 procent Polaków badanych przez CBOS miało poczucie wpływu na bieg wydarzeń w kraju, 19 procent — na stan rzeczy w miejscu zamieszkania, a 28 procent — w zakładzie

pracy” („Res Publica”, styczeń 1988 r.).

Czy to jest normalny kraj, w którym ślusarz zarabia więcej od absolwenta wyższej uczelni? Chyba nie. Oczywiście: ja nie neguję wartości i przydatności pracy ślusarza, ale proporcje zostały chyba zachwiane. Jeżeli pensja nauczyciela będzie dwa razy mniejsza od pensji pracownika fizycznego z wykształceniem podstawowym, to niech się nikt nie dziwi... Zresztą obrazek magistra sprzedającego kwiatki, albo sadzącego pietruszkę nie jest u nas czymś nowym. Po co więc mam kończyć studia w terminie? Żeby się o tym przekonać?

Teraz mam nieźle. Stypendium socjalne plus pieniądze otrzymywane za wyniki w nauce, to w sumie 31 tys. złotych. Po zapłaceniu za obiady i akademik mogę beztrudno przeżyć miesiąc. Pasożyt? Być może. Ale czy to moja wina, że praca, którą przecież kiedyś podejmę, nie zapewni mi godziwego utrzymania?

Pensja magistra z przygotowaniem pedagogicznym wynosi w szkole 31 tys. zł. Po trzydziestu latach pracy oscyluje w granicach 40 300 — 42 500 zł. Magister bez przygotowania pedagogicznego będzie zarabiał, analogicznie, 20 tys. zł i 33 300 — 37 300 zł.

To musi rodzić określone skutki; już tu, na studiach. Nawet nielegalne NZS nie jest w stanie zachęcić większej liczby studentów do jakiegokolwiek działalności. Programy, hasła, dyskusje i wiece — to już przerabialiśmy. Lata, kiedy ludzi można było „brać na idee” minęły już bezpowrotnie. Czasami widzę, na ścianach czy w gablotach, propozycje organizacji studenckich: „Sam na sam z przewodniczącym ZSP. Przyjdź, nie pożałujesz”, albo: „Czy stan wojenny w Polsce trwa nadal?”. Kogo to obchodzi? Co to zmieni? Pogadamy sobie, opowiemy kilka bajek, pokrzyżujemy na bezprawie i rozejdziemy się do domów.

„Prawie połowa młodzieży w Polsce deklaruje brak zainteresowania sprawami politycznymi i społecznymi. Tylko co trzeci młody człowiek należy do młodzieżowych organizacji społeczno-politycznych (co drugi uczeń, co czwarty student i jedynie co ósmy robotnik)”. („Polityka”, sierpień 1988 r.).

Przeczytałam kiedyś w „Res Publice” zapis dyskusji dotyczącej naszej rzeczywistości społeczno-gospodarczej. W wielu wypowiedziach przejawiał się zwrot „myślenie na Zachód”. To chyba trafne określenie. Wielu młodych ludzi, w

tym znaczna liczba kończących studia, tam upatruje możliwość dorobienia się, ustawienia w życiu. Nie pomogły gromy rzucane na „zgniły kapitalizm”. Kolejki przed ambasadami mówią same za siebie, a dolar stał się podstawą wszelkich transakcji i rozliczeń, zarówno w sferze prywatnej, jak i państwowej.

Jak sobie pomyślę, że moja pensja, po przeliczeniu na „twardą walutę”, będzie wynosić mniej więcej 9 dolarów, no to nie wiem czy mam śmiać się, czy płakać? Kiedy dyrektor czy kierownik zarabia mniej niż student-garkotłuk szorujący talerze w londyńskiej tancbudzie to trudno się dziwić, że oczy wielu młodych skierowane są na Zachód. Wyjeżdżają coraz częściej najmłodszy, najenergiczniejsi, ci, którzy nie potrafią i nie chcą czekać.

„Na 100 tys. mieszkańców mamy 218,7 absolwentów uczelni, co sytuuje nas na siódmym miejscu wśród dziewięciu krajów socjalistycznych (jedynie przed NRD i Rumunią). W latach 1980—87 wyemigrowało z Polski 76 300 osób mających wyższe wykształcenie. W 1995 roku uczelnie opuszczać będzie ok. 30 proc. absolwentów mniej niż wynosić będą potrzeby gospodarki”. („Polityka”, listopad 1988 r.).

Niedługo kończę studia. Staram się nie myśleć co dalej.

Zbigniew Dzięciołek

rzeczowy charakteryzują stosunek studentów do indolencji umysłowej.

Student w każdej sytuacji potrafi zdobyć się na wisielczy żart, mieć poczucie humoru, pokonując w ten sposób „obiektywne” trudności i przeszkody wynikające z codziennego bytowania. Czy to będzie forma pocieszenia: co się łamiesz, Kowalska 12 miesięcy w ciąży chodziła i wcześniaka urodziła, a ty się łamiesz?; znam ten ból, sam byłem ojcem; czy też złorzeczenia i wymyślania komuś: ty potomku nierasowego osła z Dolnego Egiptu; ty złobie nieheblowany; głowę urwę i do dupy przyprawię; jak cię przeciągnę.

tem student. Ci, którym szczęście nie dopisało, zbierają się w wrześniu na nadzwyczajnym zjeździe kół naukowych, na plenum, sesji bogów bądź zjeździe intelektualistów, aby uzupełnić formalności.

Co student robi, gdy jest głodny? Udaje się do jadłostajni, aby uzupełnić paliwo. W paśmie zestaw potraw jest różnorodny. Danie firmowe to dwuchlebjan mięsa, zwany inaczej kotletem na winie, lub przegląd tygodnia. Dla bardziej wybrednych szef kuchni serwuje kotlet poniewierany. Reszta studentckiego talatajstwa musi zadowolnić się zupą bojową, chińczykiem w po-

(zwłaszcza gdy w grę wchodzi określenie „poniżej pasa”), wreszcie mogą być posądzeni o zanieczyszczanie języka polskiego.

JAK świat światem, ludzie zawsze narzekali na trzy rzeczy: drożyznę, zepsucie młodzieży i złą literaturę. Dlatego nie przejmowałbym się specjalnie tymi utyskiwaniami, a jeżeli mówimy już o czystości języka narodowego, to znany filolog Aleksander Brückner żartował ponoć kiedyś, iż jedynym rdzennie polskim wyrazem, jakie udało mu się znaleźć, jest wyraz „kołacz”.

skiu, to niech go ono używa, pamiętając o tym, że wszystkie gwary żyją: „we wspólnej symbiozie ograniczonej ramami języka narodowego”.

Materiał leksykalny, który wykorzystaliśmy pisząc ten szkic, pochodzi z „Słownika gwary studentkiej”. I nie byłoby w tym stwierdzeniu nic dziwnego, gdyby nie fakt, że ów słownik właśnie nie istnieje, a jego żywot to historia cenzurą pisana...

Pomysł opracowania studentckiego przewodnika językowego zrodził się w lubelskim ośrodku akademickim. W grudniu 1961 roku odbyło się w Lublinie II Międzyuczelniane Seminarium Językoznawcze, na którym trójka młodych entuzjastów (I. Niewęgłowska, J. Bartmiński, M. Buczyński) przedstawiła referat poświęcony słownictwu środowiskowemu studentów lubelskich, sugerując jednocześnie możliwość opracowania tej gwary w formie bardziej usystematyzowanej. Ponieważ słowa ulatują, a pismo zostaje, postanowiono rozpocząć prace związane z gromadzeniem materiałów do przyszłej „księgi żaków”. W 1965 roku, na Ogólnopolskim Zjeździe Młodych Językoznawców ustalono, że redakcja i centralna kartoteka będą miały swoją siedzibę w Lublinie. Po długiej i żmudnej pracy wielu studentów z całej Polski, jak również autorów słownika (L. Kaczmarek, T. Skubalanka, S. Grabias) rękopis ukończono w 1970 r., a w roku 1974 słownik miał się ukazać na rynku księgarskim.

Okres, jaki upłynął od pomysłu do jego realizacji był bardzo długi, uwarunkowany płynnością środowiska studentckiego (materiał słownikowy obejmuje lata 1937-67) oraz kłopotami ze znalezieniem wydawcy. Wszystko się jednak zbliżało do pomyslnego zakończenia i Ossolineum przystąpiło do druku. Ale wtedy do głosu doszły „postępowe” siły rządowe stwierdzając, że zawartość słownika świadczy o nihilistycznej postawie studentów wobec świata. Restrykcje podjęte z pozycji strażników moralności i czystości politycznej osiągnęły zamierzony skutek. Pogrobownicy świętej inkwizycji, na czele z J. Łukaszczykiem, zgodnym chórem stwierdzili, że takiego świnstwa w Polsce Ludowej nie będzie się wydawać. Druk wstrzymano. Na szczęście kilkadziesiąt egzemplarzy, w postaci tzw. odbitek szrotkowych, udało się zachować. Jeden z nich znajduje się w bibliotece Instytutowej Filologii polskiej UMCS, z którego mogłem skorzystać dzięki uprzejmości prof. Teresy Skubalanki.

GWARZĄ STUDENCI?

to ci się sól pod pachami odłoży; odszczepanikuje się, bo jak ci zakomorać, to ci zółte kalendarze z pustych kopert wylecą; jakbym miał taką dupę, jak ty głębię, to bym się wysrać wstydzil; jesteś jak słońce: jak na ciebie patrzę, to mnie razi; żeby cię spalali-zowało; minierwa go mać; żebyś miał sto pałacy, a w każdym sto łózek, na każdym łóżku piękną kobietę i żebyś był enunuchem — to zawsze cechować ją będzie pomysłowość, chęć mówienia i naczej i nawet owe przekleństwa mają niewiele wspólnego z „lacią” podwór-kową.

Słownictwo związane z uczelnią i studiowaniem jest kolejnym przykładem fantazji słowotwórczej i specyficznego humoru, gdzie żart przeplata się z kpina i przekorą wobec świata. Gwara studentcka, nie mając charakteru czysto zawodowego (cecha ta jest znacznie ograniczona), czerpie swe pomysły i skojarzenia z różnych źródeł. Biblia, świat techniki i nauki, sport, mity — to tylko kilka dziedzin, które tworzą krąg pojęć i nazw związanych z edukacją.

Przejdźmy do konkretów. Sesja egzaminacyjna jest najbardziej gorącym okresem w czasie roku akademickiego, a stan przed egzaminem bywa nazywany orgiami seksualno-optycznymi. Sam moment, w którym waży się studentkie „być albo nie być” przyjmuje obraz czysty, spowiedzi dziecięca wieku, zła koniecznego, masakry, rzezi niewinnych. W zależności od tego czy udało nam się zdać, czy też nie, mówimy, że profesor był intelektualny, że przeszliśmy mistrza lub nie mieliśmy jednego zdania z profesorem, bądź ostrzej: wyleciał najpierw indeks, po-

midorach, a na przystawkę można o-trzymać blok czekoladowy, czyli czar-nego s...syna. Od picia polecany jest bromek i kompocik-wymiocik.

Ale nie samym chlebem człowiek żyje. Studenci, jako jednostki społeczne, towarzyskie i uświadomione politycznie z zapalem biorą udział w życiu uczelni. Formy działalności są różnorodne. Jedni działają w syndykacie chłopów drobnorolnych (ZMW), inni propagują akcję O (odchamiania się). Łżejsze rozrywki odbywają się w domu wiekowej mieszkarki, klasztorze przytu-lanki, czasami u wizytek. Takie przy-bytki to istna sorbona i gomora. Kogóż tam nie ma? Są aktywistki, cichodajki, gromadki, pogotowie seksualne, siostry miłosierdzia, sturwy, ustosunko-wane, te co wiedzą jak to się robi, ale nie wiedzą jak to się nazywa. Można spotkać również harcerki i rośliny rzadko spotykane, lub całkowite zera seksualne. Po ucieszach bachicznych student udaje się do bożnicy, aby pasi-koniak dał mu rozgrzeszenie i uwolnił od moralnego kaca. W drodze powrotnej, przed wejściem do świętego przy-bytku, można zorganizować przegląd katolicki.

Po przyspieszonym i z konieczności, skróconym kursie studentckiego języka, pokusimy się o kilka uwag i refleksji.

Czy gwara ta jest na tyle interesują-cym zjawiskiem, aby prezentować ją poza środowiskiem studentckim? Z pewnością tak. Taką opinią narażę się zapewne wielu purystom językowym, dla których ów rodzaj porozumiewania się świadczy o niskim poziomie kultury osobistej, o patologicznych skłonnośc-iach jej twórców i użytkowników

Wracając jednak do meritum należy stwierdzić, że wpływ gwary studentkiej na język ogólnopolski jest minimalny, gdyż gwara ta — związana z konkretnymi realiami, uwarunkowana i ograniczona pewną sytuacją społeczną, w której żyje student — ma raczej bytu tylko w pewnym miejscu. Jeżeli przyjmiemy, że trzy czynniki (czyli: kto do kogo, w jakiej sytuacji i w jakim celu mówi) są elementami warunkującymi kształt każdej wypowiedzi i będziemy pamiętali o tym, że student należy do kilku wspólnot społecznych jednocześnie, to stwierdzimy, że gwara studentcka nie stanowi żadnego zagrożenia dla czystości języka etnicznego; wręcz przeciwnie. Jest ważnym pośrednikiem w przekazywaniu słownictwa różnych środowisk społecznych do języka literackiego. Dla samych zainteresowanych stanowi rodzaj kostiumu środowiskowego, który ulega różnym przeobrażeniom. Są one spowodowane płynnością samej społeczności studentkiej, zmieniającej się całkowicie co kilka lat. Drugą przyczyną zmian jest emocjonalna funkcja słownictwa tej grupy akademickiej, która stwarza zapotrzebowanie na wciąż nowe i świeże środki ekspresji językowej, aby dowcip słowny nie zużył się, nie stracił nic ze swej ekspresyjności. Można by jeszcze długo analizować różne aspekty zjawiska, któremu na imię gwara studentcka. Ale cokolwiek byśmy powiedzieli, to trzeba uznać, że używa jej dość liczna grupa ludzi. Stąd też nie należy jej przemilczać. Ona funkcjonuje tak, jak styl artystyczny w twórczości pisarza, pozwalając mu kreować swój świat przedstawiony. Skoro więc jest odmianą najlepiej służącą temu środowi-

„POLMOS” PRZED SADEM (5)

UJAWNIEŃIA KOMPROMITUJĄCE DLA WŁADZ

Izabella Wlazłowska

PROKURATOR przerywa kolejną kartkę kilkudziesięciostronicowego aktu oskarżenia: „oskarżam Franciszka Ł. o to, że w okresie od stycznia 1983 roku do końca października 1987 roku jako dyrektor Lubelskich Zakładów Przemysłu Spirytusowego i Drożdżowego „Polmos” w Lublinie, zarządzając mieniem społecznym oraz będąc z tytułu pełnionej funkcji odpowiedzialnym za ochronę i nadzór nad nim, zagarnął na szkodę tychże zakładów nie mniej niż 161 butelek alkoholu wartości 234 830 zł”...

W śledztwie Franciszek Ł. powiedział:

— Przez cały czas mojej pracy nie wiedziałem o tym, że część produkcji z działu rozlewni nie jest przekazywana bezpośrednio do magazynu wycobów gotowych. Wiedziałem natomiast, że w dziale rozlewni i zestawialni znajdowały się metalowe szafy, ale nie interesowałem się, do jakich celów są one przeznaczone. Nigdy nie miałem sygnałów, że w dziale rozlewni są jakies nieprawidłowości. Przeciwnie, zawsze byłem informowany przez służbę kontroli wewnętrznej jak i inspektora Izby Skarbowej, że dział rozlewni pracuje dobrze, rozlicza się kwartalnie prawidłowo i w procesie produkcji nie wykorzystuje dozwolonych ubytków, czyli ma oszczędności.

O tym, że w szafach znajdują się duże ilości alkoholu poza ewidencją, do-

wiedziałem się w poniedziałek, tj. 10 listopada 1987 roku od funkcjonariuszy MO i inspektorów Izby Skarbowej. Nie wiem, do jakich celów alkohol ten był odstawiony. Nigdy nie wydałem polecenia kierownikowi T. ani żadnemu innemu podległemu mi pracownikowi, aby dostarczany był dla mnie alkohol.

...oskarżam Franciszka Ł., że jako dyrektor oraz Józefa K. i Alinę Ł. jako zastępców dyrektora o to, że polecali podległym pracownikom wydawanie i dostarczanie sobie alkoholu bez ewidencji, a następnie przekazywali go na cele reprezentacyjne miejscowych jednostek administracyjnych i politycznych”...

Franciszek Ł. złożył w śledztwie oświadczenie:

— Przyznaję się do faktu wywożenia alkoholu z zakładu do przeznaczenia dla różnych osób. Czyn ten w mojej ocenie nie stanowi kradzieży. Wynoszenie alkoholu z zakładu stanowiło naruszenie moich obowiązków, lecz robiłem to na polecenie władz administracyjnych i politycznych. Długo nie wiedziałem czy ujawnić te fakty, albowiem ich ujawnienie jest kompromitujące dla władz.

— Alkohol pochodzący z zakładu — stwierdza Franciszek Ł. — dostarczałem dla towarzyszy z KW PZPR. Pierwsza dostawa była w 1984 roku. Zadzwo-nił wtedy do mnie pracownik KW

PZPR i poprosił mnie do siebie. Po-informował, że dla potrzeb tow. X. mam przywieźć 5 butelek wódki. Miał on specyficzny sposób rozmowy, jak ja to określam — „ukłmatywny”. W rozmowie najczęściej nie określał celu przeznaczenia alkoholu, lecz mówił ogólnie: „wiecie towarzyszu, jest taka potrzeba”. Prosząc o dostarczenie alkoholu zawsze mówił, że to za wiedzą i zgodą. Osobiście dostarczyłem mu alkohol minimum ze cztery razy.

W 1986 roku na miejsce towarzysza X. przyszedł towarzysz Y. On również prosił mnie o alkohol. W marcu 1987 roku, w związku z wyjazdem do Moskwy, dałem mu 4 butelki wódki.

Alkohol pochodzący z „Polmosu” dostarczałem także władzom administracyjnym i politycznym miasta Lublina.

W lipcu 1987 roku zadzwonił do mnie wiceprezydent X, z prośbą o spotkanie. Przyjechał do mnie samochodem służbowym i poinformował, że przed 22 Lipca oddawana jest do użytku trasa „Aleja Gomułki” i z tej okazji władze miasta chciałyby spotkać się z wyko-nawcami. Prezydent zamierzał poczę-stować wykonawców symboliczną lampką alkoholu. Powiedział, że potrzebne będzie 10 butelek wódki.

Pod koniec września lub na początku października 1987 roku przyjechali do mnie przedstawiciele władz miejskich i poprosili o dostarczenie 10 butelek wódki z tymże w związku z uroczystościami „Dni Brzeźcia” w Lublinie. Na początku listopada 87 roku przyjechał do mnie reprezentant władz miejskich i oświadczył, że w związku z uroczystościami Rewolucji Październikowej do Brzeźcia wyjeżdża delegacja z Lublina. Prosił mnie o alkohol na upominki. W umówionym dniu osobiście wręczyłem mu 6 butelek — kończy oświadczenie Franciszek Ł.

20 listopada 1987 roku postanowieniem prokuratora rejonowego dla miasta Lublina dyrektor Franciszek Ł. został aresztowany.

Prokurator skończył czytanie aktu oskarżenia. Pierwszy dzień rozprawy ma się ku końcowi. Sąd postanowił wezwać zespół biegłych lekarzy (neurologa, psychiatrę i internistę), aby zbadali stan zdrowia oskarżonej Kazimierzy W. i wyrazili swą opinię w przedmiocie ewentualnego uchylenia wobec niej tymczasowego aresztu.

Opuszczam rzeszowski zamek, siedzibę miejscowych sądów. Wielkie rzeźbione, ciężkie drzwi zatraskują się za mną glucho. Pada śnieg.

23 listopada 1988 roku.

Rozprawa zaczęła się z dużym opóźnieniem. Czekamy na opinię biegłych — lekarzy.

Przed południem sąd wznówił posiedzenie. Z opinii lekarskiej wynika, że Kazimiera W. nie może przebywać nadal w areszcie tymczasowym, ale powinna natychmiast poddać się specjalistycznym badaniom w warunkach szpitalnych. Wyklucza to oczywiście możliwość dalszego jej uczestnictwa w rozprawie.

Sąd po naradzie postanawia uchylić wobec oskarżonej Kazimierzy W. areszt tymczasowy i rozprawę odroczyć bez terminu.

Jak długo potrwa leczenie Kazimierzy W.? Co w tej sytuacji zdecyduje sąd?

Wracam do Lublina. Dalszy ciąg procesu pracowników „Polmosu” relacjonować będą dopiero wtedy, kiedy sąd rzeszowski wyznaczyc kolejne dni rozprawy.

CZUJEMY SIĘ ODPOWIEDZIALNI ZA POLSKI WIZERUNEK W ŚWIECIE

SPRAWA POLSKA

Rozmowa z Josephem E. Gore
prezesem Fundacji Kościuszkowskiej

— Panie prezesie, nie bez pewnych emocji przekraczam progi pięknego domu Fundacji Kościuszkowskiej przy 65 Ulicy na Manhattanie w sercu Nowego Jorku. Nie chodzi o fakt, że jest to bardzo elegancka londyńska architektura, ale w ogóle miejsce o roli trudnej do przecenienia dla rozwoju polskiej nauki i kultury. Czy możemy rozpocząć naszą rozmowę właśnie od prezentacji miejsca, gdzie się ona toczy?

— Naturalnie. Przysłowie: „Jak cię widzą, tak cię piszą” ma w USA swoją niezmienną aktualność. Nie dlatego bynajmniej, by Amerykanie ulegali pokusom robienia czegoś na pokaz, ale z przeświadczenia, że jeśli ważna jest treść jakiejś działalności, to nie może ona pozostawać oderwana od formy, oprawy. Tego wymaga prestiż organizacji. Jeżeli więc coś zainstalowano na Manhattanie, w jego starej i eleganckiej części, to nie jest to na pewno przypadek.

Jeśli chodzi o nasz dom, to stanowi on replikę projektu londyńskiego domu sir Watkina Williams-Wynna, zaprojektowanego i zbudowanego w 1772 roku przez Roberta Adama. Obiekt, w którym się znajdujemy, powstał naturalnie później: w 1917 roku, według projektu Harry A. Jacobsa, dla Jamesa Van Allena. Ten po trzech latach sprzedał go Rufusowi L. Pattersonowi, znanemu przemysłowcowi metalowemu. W tych rękach budynek przebywał do 1945 roku, kiedy to odkupiła go Fundacja Kościuszkowska. Natomiast uroczystość otwarcia miała miejsce 17 października 1946 roku, na dwustulecie urodzin Tadeusza Kościuszki. Do tej pory obiekt służy Fundacji. Jest nie tylko jej siedzibą, ale mieści także nasze zbiory sztuki polskiej, służy wystawom, koncertom. Nie zdradzę żadnej tajemnicy, gdy powiem, że jest dla nas już, niestety, zbyt ciasny.

— To samo można powiedzieć o pańskim gabinecie. Pomieszczenie eleganckie, ale pańskie biuro mieści się w nim z trudem. Skoro już jesteśmy przy tym temacie, jak długo zasiada pan na fotelu prezesa? Co pan robił poprzednio?

— No, na pewno jestem jednym z młodszych „mebli” w tym domu. W marcu 1987 roku zostałem wybrany prezesem (president) i dyrektorem wykonawczym (executive director). Poprzednio nie miałem do czynienia z Fundacją. Przez 29 lat byłem adwokatem w renomowanym zespole adwokackim na Manhattanie. Prawnikiem jestem od lat czterdziestu. Całe moje życie związane jest z Nowym Jorkiem. Tu dorastałem, uczyłem się, studiowałem i pracuję. To się już nie zmieni.

— Nazwisko „Gore” nie jest typowo polskie. Kryje się za nim zapewne jakaś transformacja, uproszczenie, zamerykanizowanie. Czy może od „Góra”?

— Od Goreszewski. Moi rodzice wyemigrowali z Polski przed I wojną światową. Ja urodziłem się już tu, w Stanach. Forma „Gore” jest oczywiście skrótem i amerykańską nazwiską. Był to dość typowy zabieg czyniony na polskich nazwiskach przez urzędników imigracyjnych. Niekiedy trzeba było wielkiego uporu, żeby pozostać przy oryginalnej pisowni. Może

jest to niezbyt trafna analogia, ale Helena Modrzejewska uzyskała obywatelstwo USA jako „Modjeska”. Podobnie jej syn, urodzony jako Rudolf Modrzejewski, w USA zasłynął jako „Ralph Modjeski”, wybitny konstruktor mostów. No, i żeby nie szukać zbyt daleko, twórcą naszej Fundacji, wybitny działacz Polonii, Stefan P. Mierzwa, też został zapisany przez Immigration Office jako „Stephen P. Mizwa”. I tak już pozostało. Nie jest wcale tak, że przekreślenie nazwiska oznaczało równocześnie wynarodowienie. Tak samo jak zachowanie oryginalnej pisowni nie jest gwarancją zachowania polskości...

Pozostając przy temacie rodzinnym, chciałbym dodać, że moja żona Eugenia (Olinkiewicz de domo) Gore jest również Polką i pochodzi ze znanej rodziny działaczy polonijnych, przyjaźniących się z Paderewskimi, a także wraz z nimi działających na rzecz odzyskania niepodległości Polski. W spo-



Budynek Fundacji.

Fot. Andrzej Polakowski

sób oczywiste fakty te budzą moją dumę! Przez wiele lat moja żona pracowała z profesorem Mierzwą, będąc jego sekretarką. W tym sensie mogę więc mówić, że jakkolwiek nie związany zawodowo z Fundacją, miałem do niej pozytywny i emocjonalny stosunek. Zrozumiałe, że nie pozostało to bez wpływu na decyzję o kandydowaniu na urząd prezesa.

— Wspomniał pan o postaci profesora Stefana P. Mierzwę, założyciela Fundacji Kościuszkowskiej. Z pewnym zażenowaniem muszę stwierdzić, że w Polsce wiadomo o nim niewiele; wyłączając kręgi badaczy Polonii czy ludzi profesjonalnie związanych z kontaktami polonijnymi. Czy mógłby pan tę postać przybliżyć?

— Uważam to za swój obowiązek. Stefan Mierzwa urodził się w 1892 roku we wsi Rakszawa niedaleko Łan-cuta. Miał trzynastoletnie rodzeństwo; był najstarszy. Rodzina klepała biedę, mimo to postanowiła nauczyć pierworodnego syna czytać i pisać. Edukację zakończył na czterech klasach, wrócił do pracy na gospodarce, gdzie pomagał ojcu oraz uczył młodsze rodzeństwo. Ze wsi Basznia Dolna, gdzie mieszkali wówczas Mierzwowie, wyemigrował do USA Józef Stonina. Pracował w Pensylwanii jako górnik. W 1909 roku

przyjechał do Baszni i zabrał ze sobą do Stanów całą liczną rodzinę. Swoimi opowiadaniem o Ameryce „zaraził” Mierzwę. Zimą 1910 roku, przez Bremę, ten ostatni udał się w podróż za ocean. Odnalazł Stoninów i zamieszkał w tym samym mieście (Northampton, Massachusetts). Rozpoczął pracę w fabryce, a za pierwsze pieniądze kupił słownik i samodzielnie rozpoczął naukę angielskiego. Raz w tygodniu szedł do kina, żeby sprawdzać, czy rozumie już więcej. Potem zapisał się do wieczorowej szkoły dla imigrantów. Szło mu nadspodziewanie dobrze, co zachęcało do pobierania nauki w normalnych szkołach amerykańskich. Ukończył kolejno szkołę średnią i renomowany Amherst College, gdzie uzyskał tytuł bakałarza (bachelor), umożliwiając ubieganie się o przyjęcie na uniwersytet. Tytuł summa cum laude, z jakim ukończył college, pozwolił mu na otrzymanie stypendium i studia w Harvard University, najbardziej znanej uczelni USA. Ukończył ją, mając 29 lat. Stamtąd udał się do Des Moines, stolicy stanu Iowa, gdzie zaproponowano mu pracę w prywatnym Drake University. Szybko zdobył tam pozycję rzetelnego naukowca, lubianego przez profesorów i studentów. Towarzyszyły temu także dobre warunki finansowe.

W 1923 roku Mierzwa przeczytał artykuł rektora Vassar College, profesora Henry Noble MacCrackena, który nasyłał mu ideę zblżenia Polski i USA w formie bardziej wysublimowanej niż emigracja zarobkowa. Postanowił stworzyć fundusz, który by miał służyć naukowcom polskim w podnoszeniu poziomu ich wiedzy, kontaktom z osiągnięciami nauki amerykańskiej, wymianę doświadczeń. Tym samym zblżeniu środowisk amerykańskich do polskich oraz zmianie obrazu Polaków w USA, kojarzących się dość jednoznacznie jako element niewykształcony, prymitywny, o niskich aspiracjach społecznych.

W 1924 roku Mierzwa porzucił uczelnię i zajął się organizowaniem takiego komitetu stypendialnego. Poświęcił temu całe oszczędności. Odesłał nawet do teściów żonę z dzieckiem, bo nie wystarczało na utrzymanie rodziny. Wbrew wszelkim oczekiwaniom, Stefan Mierzwa natrafił na mur obojętności Polonii! Solidarna i skuteczna w gromadzeniu środków na obiekty religijne, nie dostrzegająca potrzeby posiadania własnej organizacji kulturalno-naukowej. We wrześniu 1924 roku zarejestrował Polsko-Amerykański Komitet Stypendialny i rozpoczął kwestę, aby zebrać pięć tysięcy dolarów, potrzebne na uruchomienie działalności.

Sprawa wydawała się niemal nierealna. Wydawca polonijnej gazety „Ameryka-Echo” Antoni Paryski napisał nawet, że jeżeli uda się Mierzwie zebrać od każdego Polaka w USA po... jednym cencie (co przy czterech milionach ludzi czyniłoby 4000 dolarów), to on jest gotów dołożyć brakujący tysiąc. Mierzwa ogłosił te słowa w gazetach, odwracając nieco logikę wyводу. Po prostu, że Paryski daje tysiąc, ale Polonia musi dołożyć — cztery. Kiedy po ośmiu miesiącach Mierzwa zebrał 3237 dolarów i 75 centów, Paryski nie czekał już i dorzucił obiecany tysiąc dolarów.

W następnym roku Stefan Mierzwa, wykorzystując 150 rocznicę wstąpienia Tadeusza Kościuszki do armii amerykańskiej oraz popularność polskiego dowódcy w USA, przekształcił Komitet Stypendialny w Fundację Kościuszkowską (The Kościuszko Foundation). Miało to miejsce 23 grudnia 1925 roku. Prezesem (president) Fundacji został profesor Henry Noble MacCracken, który wniósł ogromny wkład w powstanie organizacji. Stefan Mierzwa natomiast — dyrektorem wykonawczym (executive director). Ta konfiguracja utrzymała się do 1955 roku, do śmierci MacCrackena. Potem Stefan Mierzwa, aż do przejścia na emeryturę w

1971 roku, był prezesem Fundacji, a następnie jej prezesem honorowym.

Można bez przesady powiedzieć, że Fundacja Kościuszkowska była treścią i dziełem jego życia. Taką pozostał. Mierzwa zaś — symbolem ogromnego społecznego awansu Polaka w USA, jaki zdobył sobie uporem, twarzą pracą i wyrzeczeniem.

— Pozostając z całym szacunkiem dla historii i dorobku Fundacji Kościuszkowskiej, zajmijmy się sprawami dzisiejszymi. Jakie są cele działalności — dziś?

— Nie uległy zasadniczym zmianom od powołania Fundacji. Koncentrujemy się na stworzeniu możliwości kontaktu polskich uczonych i twórców kultury z analogicznymi środowiskami amerykańskimi. Mamy świadomość, że stan wyposażenia i rozwoju nauki w Polsce odbiega znacznie od poziomu amerykańskiego, a ta różnica stale rośnie. Dotyczy to przede wszystkim nauk technicznych, biologiczno-chemicznych, medycznych, informatycznych. Tu obserwujemy bardzo dużą efektywność pobytów stypendialnych. W czasie półrocznego stypendium okazuje się możliwe, na przykład, wykonanie badań do pracy doktorskiej czy habilitacyjnej. Podczas gdy w Polsce często w ogóle nie jest to możliwe z przyczyn obiektywnych (np. brak aparatury).

Podobnie duże korzyści dają pobyty lekarzy w znanych ośrodkach medycznych, gdzie mają kontakt z najnowocześniejszą aparaturą i nowymi technikami zabiegowymi. Przypuszczam, że także stypendium dla jednej z projektantek warszawskiego metra, która pracowała przy rozwiązywaniu problemów technicznych metra nowojorskiego (zresztą z dużym powodzeniem!), miało swój walor pragmatyczny i zapracentuje w przyszłości. Także stypendia dla zdolnych muzyków w Julliard School of Music mogą mieć zasadniczy wpływ na losy ich karier wykonawczych.

Drugą stroną naszej działalności są stypendia udzielane Amerykanom polskiego pochodzenia. Są to albo stypendia umożliwiające naukę w renomowanych uczelniach USA, albo stypendia związane z ich nauką w Polsce.

Zajmujemy się także działalnością promocyjną kultury i sztuki polskiej w USA, działalnością wydawniczą. Generalnie jednak podstawą pozostają stypendia i wymiana naukowo-kulturalna.

— Jakie rozmiary przybiera? Jakie są kryteria?

— Przyznajemy co roku około 60 stypendiów na przyjazdy do USA i tyle samo stypendiów dla Amerykanów (głównie jednak na umożliwienie im nauki w USA). Naturalnie wniosków o pomoc otrzymujemy znacznie więcej. Aplikanci muszą przedstawić konkretny program pobytu oraz wskazać ośrodki, w których chcieliby pracować, oraz ewentualnych kierowników ich programów. Pożądane są także referencje amerykańskie od osób, którym znane są osiągnięcia potencjalnych stypendystów. Oczywiście wszyscy przyjeżdżający muszą znać angielski i zdać specjalny egzamin TEOFL, określający stopień znajomości języka. Nie ma mowy o jakiejś taryfie ulgowej, znajomościach, układach. O przyznaniu stypendium decyduje specjalna komisja. Ocenia ona także okres pobytu, zwykle trzy-, sześć- lub dziesięćmiesięczny. Po zakończeniu pobytu stypendysta składa nam sprawozdanie, gdzie przedstawia konkretne efekty swej pracy.

— Być może niektórzy nie powinni rozmawiać o pieniądzach, ale przecież w każdej fundacji podstawową sprawą jest gromadzenie funduszy na działalność. Jak to wygląda w Fundacji Kościuszkowskiej?

— Porusza pan bardzo ważną kwestię. Byłbym złym prezesem, gdybym twierdził, że jestem zadowolony z sytuacji finansowej. Jak mogę być zadowolony, kiedy środków wystarcza na pokrycie 25 procent potrzeb? Oczywiście nie załamujemy rąk i staramy się być aktywni w zbieraniu funduszy.

Najpoważniejszym źródłem są zapisy testamentowe, czynione na naszą rzecz przez polonusów. Mamy także, w ramach Fundacji, kilka funduszy noszących imiona ofiarodawców. Warunkiem powstania takiego „imiennego” stypendium jest przekazanie nam kwoty 100 tysięcy dolarów. Przy tej wielkości już same odsetki pozwalają na pokrycie kosztów stypendialnych. Innym źródłem są wpłaty członkowskie o bardzo zróżnicowanej wysokości: od wersji „studenckiej” — 10 dolarów, po członkostwo „patronackie” (Patron Member), które związane jest z roczną opłatą 1000 dolarów, oraz „fundatorskie” (Founder Member) — 5000 dolarów. Ogółem mamy 3500 członków.

Istotne jest, że w USA wszystkie kwoty przekazywane na cele dobroczynne zwalniane są z podatku. Jest to forma popierania przez państwo tego typu działalności. Również władze stanowe stosują cały szereg ulg dla osób świadczących na takie cele. Dam przykład. Jeżeli ktoś ma, powiedzmy, dom i sprzedaje go, płaci podatek dochodowy. Jeżeli natomiast uzyskany dochód przekazuje nam, to nie tylko jest to odliczane od podatku rocznego, ale także ofiarodawca jest automatycznie zwolniony z podatku dochodowego. Jeżeli ktoś nabył obraz w 1980 roku za tysiąc dolarów, a dziś dzieło jest warte dziesięć, to ofiarowując go nam, odpisane ma nie tyle, ile zapłacił przed ośmiu laty, a obecną wartość dzieła.

Reasumując, mimo mechanizmów zachęty do świadczeń na rzecz Fundacji, trzeba wykazać niemało inicjatywy, aby zapewnić materialne podstawy egzystencji.

— Panie prezesie, jak ocenia pan współpracę Fundacji Kościuszkowskiej z jej partnerami w Polsce?

— Mamy bogate tradycje kontaktów akademickich z Uniwersytetem Jagiellońskim. Sięgają one profesora MacCrackena, który odwiedził UJ jeszcze przed powstaniem Fundacji, w 1922 roku. Starej daty są kontakty z Katolickim Uniwersytetem Lubelskim. Obecnie posiadamy je także z Uniwersytetem im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, Politechniką Gdańską, wrocławską Akademią Medyczną. Od lat mamy również kontakty z Towarzystwem „Polonia”, które organizuje różnorodne formy kształcenia, wypoczynku, turystyki dla środowisk polonijnych. Fundacja także z nich korzysta. Przesyłamy na nie 150—200 osób rocznie. Najdłuższą tradycją szczycą się szkoły języka polskiego przy Uniwersytecie Jagiellońskim (pierwsze zorganizowano przed 60 laty), od 15 lat podobne mają miejsce również w KUL, a także w innych ośrodkach: w Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu — ekonomiczne, w lubelskim UMCS — dla nauczycieli itd. Chciałbym też zauważyć, że obecne władze Towarzystwa „Polonia”, a zwłaszcza jego sekretarz generalny, Józef Klasa, wykazują wiele dobrej woli dla poprawy stosunków Polonii z Polską i niemało wkładają energii, by tworzyć nowe fakty dokumentujące tę poprawę.

Mogę powiedzieć, że współpraca z Polską, przy uwzględnieniu różnych opcji światopoglądowych i politycznych, jakie mają nasi partnerzy, układa się pomyślnie. Powiedziałbym nawet, iż lepiej, niż się tego spodziewałem na początku mej kadencji.

— Kończąc naszą rozmowę, chciałbym zadać pytanie o powody tak dużej „długowieczności” Fundacji Kościuszkowskiej. Działacie prawie 65 lat i kryzys raczej wam nie zagraża.

— Zastawiałem się nad tym. Nie znajduję lepszej odpowiedzi niż ta, że istnienie Fundacji Kościuszkowskiej jest słowem „tak”, powiedzianym w poczuciu własnej odpowiedzialności za stan polskiego dziedzictwa w świecie i za stan polskiego wizerunku, polskiego „image”.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:

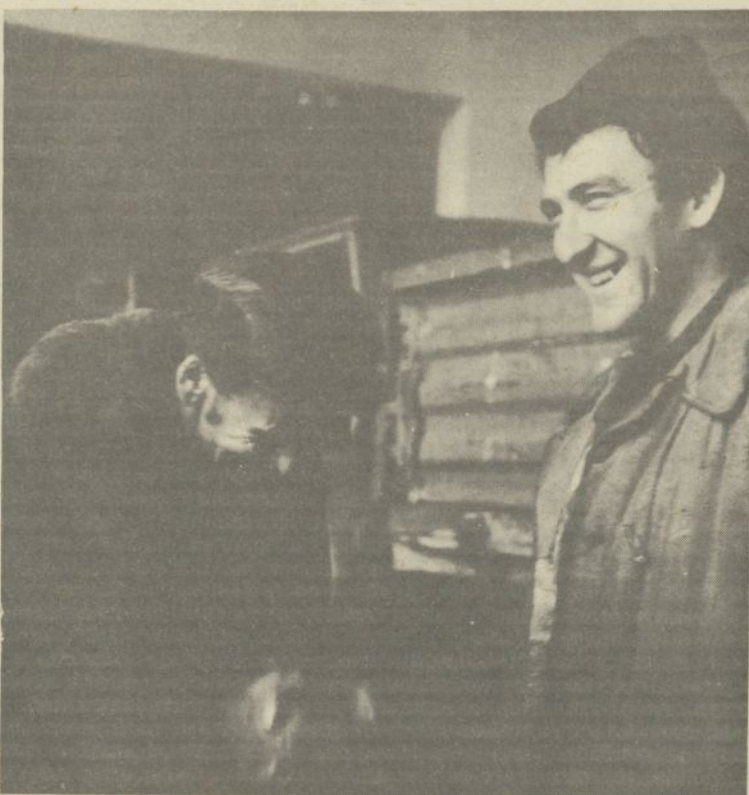
Waldemar Piasecki

(Rozmowa przeprowadzona w sierpniu 1988 roku w Nowym Jorku)



G M I N A

Fotografował
Waldemar
Stępień



CZY POZOSTANĄ JEDYNI PIENIĄDZE?

Dokończenie ze str. 1

czenia nie" było, tego się zatrzeć nie da, akceptowane przez istotną większość społeczeństwa. Dzisiaj, jak się wydaje, wierzących już nie ma. Co więcej, niewiara rozciąga się na bieżące poczynania władzy, na jej zdolność do skutecznego rozwiązywania problemów i koordynowania poczynania. Jest to stan — wedle określenia pewnego „prywatnego publicysty” — w którym nawet jeżeli radio Warszawa ogłosi, że rząd znalazł kurę znoszącą złote jajka, to ludzie powiedzą, że jajeczka są tombakowe, a poza tym częściowo nieswieże.

W szczególności niewiara ta dotyczy możliwości zahamowania wzrostu cen. A oczywiście rację miał premier w swym wigilijnym wystąpieniu, gdy mówił, że jeśli ludzie powstrzymali się od natychmiastowego wydawania pieniędzy, to inflacja byłaby mniejsza. Ludzie też o tym wiedzą. Wiedzą niestety, także o tym, że pieniądz nie wydany topnieje jak lodowa kula. I to niezależnie od tego, czy trzymany jest w materacu czy w państwowym banku. Dlatego starają się wydać go jak najprędzej. Prawdą jest przy tym, że stosunek zasobów gotówkowych ludności do wartości towarów (których podaż „zabezpieczono na rynku”) jest w Polsce anno 1989 z grubszą tali sam, jak przed dziesięć laty, i podobny, jak w innych krajach. Inne są jedynie przewidywania przyszłości i inna wiara. A wiara czyni cuda. W tym konkretnym przypadku wiara, że w przyszłości inflacja będzie jeszcze wyższa sprawia, że taką się staje.

Wiąże się z tym wspomniana sprawa ustrojowa. Pieniądz w świecie, który pozwolę sobie nazywać normalnym, pełni dwie funkcje: inwestycyjną i konsumpcyjną (obojętnie, czy chodzi o konsumpcję dziś, czy o oszczędzanie, aby kupić jutro). Praktycznie każdy obywatel rozważa, jaką część zasobów pieniężnych zainwestować. Obojętnie, czy w inwestycje rzeczowe jak budowa domu, czy zakup ziemi czy też w tzw. „inwestycje portfelowe” (zakup akcji, obligacji, polis ubezpieczeniowych). W oczywisty sposób spowalnia to obieg pieniądza i zmniejsza presję na rynek konsumpcyjny. Czy też jest raczej odwrotnie, bo normalny człowiek w normalnym świecie na ogół przedkłada inwestycje nad konsumpcję. I dlatego nie trzeba hamować presji konsumpcyjnej, lecz namawiać Szweda, Niemca czy Japończyka, aby zechciał być rozrzutnym i — choćby dla ratowania przemysłu krajowego, pracującego na pół gwizdka z powodu braku zamówień — coś sobie (oczywiście na raty) kupić.

W socjalizmie pryncypium ustrojowym stało się, że pieniądz ma pełnić wyłącznie funkcję konsumpcyjną (przed laty, co dzisiaj wydaje się niewiarygodne, dyskutowano nawet, czy moralnie jest płacenie odsetek w PKO, bo może to powodować powstanie warstwy żyjącej „z kapitału”). Nie istnieje alternatywa inwestycyjna dla pieniądza osobniczego. Musi być on wydany dziś lub zoszczędzony, aby wydać go jutro. W warunkach, gdy inflacja zżera oszczędności jak rdza malucha, nie dziwota, że pieniądze przelatują przez ręce z szybkością rakiet. Jedynie numizmatcy mogliby nas zbawić, gdyż kolekcjonerstwo jest

jedynym alternatywnym wykorzystaniem znaków pieniężnych.

Co gorsza nic w opisanej powyżej filozofii się nie zmienia. Alternatywnym, inwestycyjnym zastosowaniem dla pieniądza mogłaby być choćby sprzedaż ziemi. Od lat słyszy się jednak, że władze miast nie są w stanie, ze względu na brak wolnych terenów, przygotować działek pod budownictwo jednorodzinne. Śmiechem parsknąć na to musi każdy, kto przejdzie się po dowolnym polskim mieście. Choćby po Lublinie, w którym w śródmieściu naliczyć można kilkanaście kilometrów kwadratowych pustych, lub wykorzystanych bezproduktywnie terenów. Co więcej, prosty rachunek (metr działki budowlanej ca kilka tysięcy złotych) pokazywałby, że opłacalne byłoby zaoranie wielu znajdujących się w mieście (produkcujących smród i deficyt) zakładów. Nie jest to jednak możliwe. Przyzwyczajiliśmy się, że ziemia jest wspólnym naszym dobrem i nie może być prywatnie kapitalizowana. Pod budowę biurowca, proszę bardzo i owszem, pod fabrykę — a jakże, ale sprzedaż dorobkiewiczowi — przenigdy. W najgorszym wypadku można prawie darmo rozdać działkowcom, bowiem człowiek socjalistyczny najlepiej po pracy odpoczywa przy pracy.

Drugim ustrojowym wytrychem, który nakręca mechanizm inflacji, jest kategoria „interesu społecznego” (vel potrzeb). Zasadniczym kanałem, którym wypływa pusty pieniądz, są inwestycje. Przekładają się one bowiem na płace albo w sposób prosty (pracownicy zatrudnieni na budowach), albo poprzez produkcję maszyn i materiałów (płace pracowników, którzy je wytworzyli). A sferą inwestycji rządzą żelazne prawa. Są to jedynie dwie prawidłowości gospodarki socjalistycznej, które sprawdzają się zawsze i wszędzie. Prawidłowości te polegają na tym, że: po pierwsze, każdego roku nakłady inwestycyjne w Polsce mają wartość większą niż uzyskany z nich przyrost majątku trwałego (relacja jest mniej więcej taka — na jedną złotówkę nakładów inwestycyjnych przypada siedemdziesiąt groszy przyrostu majątku); po drugie, rocznie plan nakładów inwestycyjnych jest przekraczany (o circa 20—30 procent), a plan przekazywania obiektów do użytkowania nie wykonywany (brak circa 30—35 procent). Są to, powtarzamy prawidłowości powszechne, tzn. nie znam takiego przypadku, aby się nie sprawdziły. A ponieważ dotyczą również pozostałych krajów o podobnej gospodarce, można uznać je za najbardziej trwale prawidłowości systemowe.

KTO WINIEN?

PRAWIDŁOWOŚĆ pierwszą można — gdyby ktoś przyjechał z Marsa — uznać za konsekwencję rozwoju. Wiadomo, że w większości przypadków cykl inwestycyjny jest dłuższy niż rok. A zatem rozpoczęte w danym roku budowy nie mogą zmateriałizować się w zakończonych obiektach. Te, które dziś zaczynamy eksploatować, rozpoczęliśmy budować parę lat wcześniej. Ponieważ w gospodarce rozwojowej rokrocznie inwestuje się coraz więcej, natywnie nakładów nad przyrostem wartości majątku mogłaby mieć takie uzasadnienie. Mogłaby, ale nie ma. Jak wiadomo po okresie boomu inwestycyjnego lat siedemdziesiątych, nastąpiło przykrećcenie inwestycyjnej śruby. Rozmiar nakładów inwestycyjnych w wielkościach absolutnych, w latach osiemdziesiątych, zmniejszyły się. Ergo,

po roku czy dwóch powinny nastąpić inwestycyjne żniwa i powinniśmy uzyskać przyrosty majątku o wartości większej niż wydatkowane kwoty na nowe budowy. Powinniśmy, ale „żniw” nie było, znaczna część budów, jako tzw. „inwestycje nietrafione” została po prostu przerwana, czyli wydatkowane pieniądze poszły — dosłownie — w błoto. Efektów majątkowych już z nich nie będzie. I bardzo dobrze, gdyż w sporej części owe nowe obiekty produkowałyby deficyt, a więc ich dalsza budowa i późniejsze uruchomienie byłyby jeszcze bardziej inflacyjne.

Jeśli szukać modelu takiej polityki inwestycyjnej, to jest nim balon. Zwykle, zwyczajny dziecięcy balon. Balon nadyma się do pewnych rozmiarów (inflacja — znaczy nadymać, puchnąć), a potem pęka.

Ale dlaczego pęka? Kto winien? Przecież mamy gospodarkę planową. Czy winni są planiści? Czy zatem nie wystarczyłoby ich wyrzucić na bruk i zatrudnić nowych?

Odpowiadam od końca. Nie wystarczy, o czym łatwo przekonać historia, bowiem to rozwiązanie praktykowane jest nieodmiennie i z nieodmiennym skutkiem, przy każdym pęknięciu. Planisci są niewinni. Winna jest gospodarka planowa!

Powyższa teza może wydawać się — zwłaszcza dla czytelników uzbrojonych w małą mądrą i wieczorowy uniwersytet — obrazoburczą, dlatego warto bliżej ją udokumentować. Sięgnijmy po przykład lokalny. W Lublinie, jak wiadomo, buduje się teatr. Na pytanie, dlaczego w Lublinie buduje się teatr, każdy odpowie, że przecież w Lublinie teatr jest potrzebny, bo jest to wszak duże miasto, metropolia niemal, no i nie tylko ciało, ale i ducha człowiek powinien rozwijać, a zatem ludzie pracy, po wydajnej pracy, pójdą i będą upajać się Szekspirem albo i Gribojedowem. I nic to, że jest już dzisiaj wiadome, iż jego deficyt wynosić będzie tyle, że taniej byłoby codziennie dowozić dwa tysiące miłośników Talii i Melpomeny do Warszawy i fundować im bilet na dowolne przedstawienie, niż utrzymywać placówkę tych rozmiarów w Lublinie.

Jak łatwo zauważyć, w odpowiedzi, że coś jest potrzebne, brak jest wyjaśnienia, że ludzie skłonni będą sfinansować daną budowę poprzez zakup, po odpowiedniej cenie, wytwarzanych później produktów (w danym przypadku biletów za, powiedzmy, 10 tysięcy złotych sztuka), wyższe podatki, czy w inny sposób. Jak zatem widać, mechanizm „zaspokajania potrzeb” ma to do siebie, że skłonni jesteśmy coś pobudować, co służyć ma nam, ale pod warunkiem, że ktoś inny za to zapłaci. I znowu, w oczywisty sposób, nie chodzi tu ani o teatr, ani o kulturę (w 1987 roku kultura pochłonęła całe zero sześćdziesiątych procenta dochodu narodowego), tylko o to, że ten sposób rozumowania stosowany jest wszędzie. Nawoży sztucznie, na przykład, produkujemy nie po to, żeby je sprzedać i na tym zarobić, a po to, żeby „zaspokajać potrzeby”.

W gospodarce, zwanej planową, nie może być zresztą inaczej. Z definicji oznacza ona, że o kierunkach inwestycji decyduje nie zysk, lecz „preferencje Centrum” (gdyby było inaczej, tzn. preferencje Centrum pokrywałyby się z zyskiem, planowanie byłoby niepotrzebne). Co przy tym najgorsze, złamanie zasady inwestowania w to, co opłacalne sprawia, iż — choćby się chciało — powrócić do niej już nie można. Rachunek opłacalności wymaga, aby ceny były proporcjonalne do rzadkości dóbr (im coś rzadsze, tym droższe — jak łatwo zauważyć, cena jest wtedy narzędziem informacji, w co inwestować, a wysoki zysk w niej zawarty jest nagrodą za ekonomicznie sensowną inwestycję). Jeżeli decydujemy się inwestować w cokolwiek innego, to rozrywamy zależność między popytem a ceną. Cena staje się księżycowa, o niczym już nie informuje i nikt nie wie, czy dane „coś” jest czy nie jest opłacalne.

Co wreszcie w tym wszystkim najgorsze, to to, iż działalność inwestycyjną nie daje się w całości ześrodkować w rękach Centrum (próba taka w czasach planu 6-letniego skończyła się straszliwie żałośnie), gdyż oznacza-

łoby to kompletne ubezwłasnowolnienie przedsiębiorstw i całkowity brak ich możliwości dostosowania się do zmieniających warunków. Istotną część nakładów inwestycyjnych wydatkować muszą istniejące przedsiębiorstwa. Kłopot jednak w tym, iż nie są one właścicielami majątku znajdującego się w ich dyspozycji i nie finansują jego budowy ze środków własnych, tylko z dotacji lub kredytu (który przy ujemnej stopie procentowej i powszechnej praktyce umarzania kredytu inwestycyjnego jest kryptodotacją). Streszczając: są zatem w sytuacji takiej, w której majątek, z jakiego będą korzystać, a więc tak jakby własny, tworzą ze środków otrzymanych darmo. Jest to sytuacja, w której też chciałbym się znaleźć. Zwłaszcza, że za ten „Mój-nie mój majątek” praktycznie bym nie odpowiadał, nie mogąc de facto zbankrutować (co to znaczy bankrutstwo przedsiębiorstwa państwowego, jeżeli nikt nie ponosi jego kosztów. Nie uwierzę w takie bankrutstwa, chyba że na mocy prawa zbankrutowany dyrektor będzie musiał spełnić warunki).

Powyższe tłumaczy prawo gospodarki planowej, na którego mocy zawsze przekraczane są plany wydatków inwestycyjnych i nigdy nie wykonywane plany efektów inwestycyjnych. W trakcie „walki o plan” jednostki gospodarcze przedstawiają optymistyczne kosztorysy i scenariusze swoich projektów inwestycyjnych — mając pełną świadomość tego, że jest to lipa — w efekcie czego rzeczywiste koszty muszą być wyższe, a efekty niższe. Różnica między tymi „wyższe-niższe” to nadwyżkowy popyt, dla którego brakuje podaży.

Dla pełni obrazu dołożymy, że za każdym z przedsiębiorstw stoją określone lokalne i branżowe, siły polityczne, dla których owe inwestycje są wyznacznikiem ich siły i pozycji. Dodajmy do tego inwestycje realizowane ze względu na pozaekonomiczne (militarne, prestiżowe czy ideologiczne), czyli takich, które będą realizowane bez względu na rachunek ekonomiczny. Przymińmymy także, iż — faktycznie — rachunek taki, ze względu na brak rynku i cen rynkowych, jest niemożliwy do przeprowadzenia. Wtedy dopiero obraz będzie w miarę kompletny. Odnośnie inwestycji przynajmniej.

Pozostaje jeszcze sfera działalności bieżącej. Tutaj do zasadniczego mechanizmu inflacyjnego, jakim jest kreowanie — poprzez zbyt duże i niewłaściwe inwestycje — nadmiernego popytu dochodzi inflacja kosztowa. Polega ona na stałym wzroście kosztów jednostkowych wyrobów, co wymusza albo wzrost cen (czyli inflację jawną), albo wzrost dotacji budżetowych finansowany inflacyjną emisją pieniądza.

DLACZEGO ROSNĄ KOSZTY?

ODPOWIEDZ na pytanie, dlaczego rosną koszty jednostkowe, jest prosta i tylko częściowo — ale o tym potem — wiąże się ze spiralą: ceny — płace — koszty — ceny (z tego prostego powodu, iż płace staniażają, wynoszący około dziesięć procent, odsetek kosztów). Przynajmniej wzrost kosztów jest archaiczna, monopolistyczno-feudalna struktura produkcji. Wyjaśnijmy tutaj, że współcześnie, w normalnie funkcjonujących krajach, praktycznie nie występuje jawisko pozycji monopolistycznej producenta. Monopole, owa znora dziesiętnastowiecznego kapitalizmu, zniknęły z dwóch powodów. Po pierwsze, ze względu na otwartość rynku i konkurencję zewnętrzną. Największy browar europejski, kopenhaski Tuborg-Karlsberg może sobie być jedynym producentem piwa w Danii, ale nie może podnieść ceny ani o jedno oere powyżej renty, jaką dają niższe koszty transportu. Gdyby tak postąpił rynek zostałby zalany piwem niemieckim lub szwedzkim. Po drugie, ze względu na tzw. „konkurencję potencjalną”. Nawet jeżeli wyobrazimy sobie przypadek pełnego monopolisty (np. firma, która pierwsza wprowadziła nowy produkt), to ze względu na istnienie własności akcyjnej i związanej z nią dużą możliwość przenoszenia kapitału z galezi do galezi, przedsiębiorstwo to nie może być pewne dnia ani godziny. W każdej chwili musi liczyć się z przybyciem konkurenta, który będzie obniżał cenę, a więc nie może — a jeżeli to na-

bardzo krótko — korzystać z prawa do ustalania ceny monopolowej.

Jedyną ostoją monopolizmu (jeżeli nie liczyć niektórych gospodarek lańskich czy afrykańskich zamienionych w prywatne latyfundia dyktatorów) w świecie są gospodarki socjalistyczne. Tutaj, przedsiębiorstwa odizolowane od konkurencji zagranicznej i przypisane do określonej produkcji niczym chłop pańszczyźniany do folwarku, w pełni mogą korzystać z uprawnień monopolisty. Mogą nawet skorzystać z nich tak daleko, aby popaść w trwały deficyt i — przy braku realnych cen oraz niekwestionowanym fakcie, iż „zaspokajają społeczne potrzeby” — spokojnie wymuszać podtrzymujące ich żywot dotacje.

I tak niepostrzeżenie udało mi się przejść do systemowych przyczyn inflacji. W tym miejscu mój wywód może spotkać się z następującą krytyką. Przedstawione przyczyny systemowe: nadmierna ekspansja inwestycyjna związana z darmowością środków i brak bodźców do obniżania kosztów produkcji (a przy cenach bazujących na tzw. uzasadnionych kosztach — antybodźców) występują w Polsce od czterdziestu paru lat, a nigdy dotąd inflacja nie przybrała takich rozmiarów.

Na pierwszy rzut oka zarzut ten wygląda rozsądnie. Tutaj jednak włącza się mechanizm polityczny. To, co było przedstawione wyżej, są to przyczyny „wglębne”; aby ujawniły się na powierzchni życia gospodarczego, muszą przełożyć się one na — wyższy niż zmiany wydajności — wzrost płac. Właściwie byłoby powiedzieć to inaczej. Owe przyczyny „wglębne” można — czasem — zablokować na powierzchni, blokując wzrost płac i utrzymując je na bardzo niskim poziomie. Nagrodą za taką politykę jest względnie dobry stan rynku. Taki model inflacji nazwałem („Res Publica” 1988 nr 9) enerdownskim. Można go skutecznie realizować — o czym świadczy przykład NRD — jeżeli dysponuje się stałym, darmowym zasileniem twarododewizowym przez zachodniego brata (średnio 2—3 miliardy marek zachodniemieckich rocznie). Nie można — o czym świadczy przykład Polski — realizować go bez takiego, pokrywającego koszty niesprawności, systemu finansowania. Jeżeli próbuje się, jak Gomułka, polityki deflacyjnej, gromadzące się niezadowolenie ze stagnacji płac wybuchnie przy — wcześniej czy później — nieuchronnej — podwyżce cen. Jeżeli próbuje się, jak Gierak, niesprawność tę finansować kredytami, długiem obciąża się następną politykę i następną ekipę. Tak czy owak kumulujące się skutki wad systemowych będą stopniowo podnosić inflację na coraz wyższy poziom.

W roku ubiegłym, podobnie jak w latach poprzednich, przyczyny polityczne tego, iż nie można się było przeciwstawić naciskom na płace, były szczególnie wyraźne. Sprawa jest prosta i po ciachu wszyscy o niej mówią. Pora zatem powiedzieć głośno. Przed kilku laty w wewnętrznym, ale nie poufnym, biuletynie pewnej organizacji politycznej czytałem egzekutywny poświęconej polityce płac. Krytykowany za nadmierne wypłaty placowe dyrektor największego zakładu w mieście powiedział: „no dobrze, a jakbym nie dał tych pieniędzy, to byście mnie jeszcze bardziej krytykowali, że moi pracownicy siódmego listopada poszli nie pod ten pomnik”.

Odejść od zasady unikania liczb w tekstach publicystycznych i tym razem tę swoją podeprę danymi liczbowymi. Po podwyżce cen z pierwszego lutego, płace w przemyśle ustabilizowały się na poziomie 50 tysięcy. A potem przyszły strajki i polskie miesiące, i obawy przed następnymi strajkami. I pooszło! W czerwcu płace w przemyśle wynosiły średnio 50,6 tys. zł, w lipcu 53,3 tys. zł, w sierpniu 57,7 tys. zł, we wrześniu 60,9 tys. zł, w październiku 66,3 tys. zł, w listopadzie 83,5 tys. zł i w grudniu 112 tysięcy złotych.

Nie trzeba dodawać, że owe podwyżki nie były skorelowane z żadnymi wskaźnikami ekonomicznymi¹. Co równie oczywiste, tworzą one — kolejny raz — nonsensowne zróżnicowanie płac między sferą produkcyjną i nieprodukcyjną. Dość powiedzieć, że w grudniu przeciętne wynagrodzenie w przemyśle było wyższe niż profesora nadzwyczaj-

nego na uniwersytecie, czy dyrektora szpitala. Taka struktura płac musi wywołać presję na podwyżki w tych zakładach i zawodach, w których wynagrodzenia są niższe. To musi pociągnąć za sobą falę podwyżek: płac — kosztów — cen — itd., itd. Słowem, może być niewesoło.

CO BĘDZIE DALEJ?

ZAKOŃCZENIE artykułu o inflacji może być dwojakie. Albo winna to być autorska wizja takich przeobrażeń systemowych, które prowadziłyby do wyciszenia tego procesu, albo — w wersji skromniejszej — może być to prognoza najbliższej przyszłości. Mimo iż wiele osób twierdzi, że rzeczywistość w Polsce przestała być prognozowalną, wybieram ten drugi wątek. Bo to w końcu nie ja ogłaszałem plan 6-letni, ani nie ja pożyczę dołary. A poza tym, od zaprowadzenia porządku mam w rządzie premiera Rakowskiego, ministra Włóczka (jak mawiają Niemcy — eine kleine Wunderwaffe der polnischen Wirtschaft), a w Komitecie elektryka Waleśy profesora Trzeczakowskiego. Niech oni się martwią.

Prognoza bazująca na projektach Centralnego Planu Roczno jest następująca. Ceny — w znaczeniu nowych podwyżek — mają wzrosnąć o 19,2 procenta. Razem z przechodzącymi na rok bieżący efektami podwyżek ubiegłorocznych, roczna stopa inflacji ma wynieść 60 procent. O tempie wzrostu dochodów ludności plan mówi, że „powinno być równe tempu wzrostu kosztów utrzymania, a wielkość zasobów pieniężnych ludności na koniec 1989 roku nie powinna przekroczyć 10,2 bln zł”.

Zacytowany fragment uchwalonego przez Radę Ministrów Centralnego Planu Roczno na rok 1989 („Reforma Gospodarcza” nr 151 z dn. 5.01.br.) jest wewnętrznie sprzeczny. A ponieważ to o nasze pieniądze chodzi, warto przemęczyć się i przeczytać poniższą tabelkę (wszystkie wielkości w bilionach złotych):

	1.01.88	rok 1988	31.12.88
przychody pieniężne	×	18,1	×
wydatki	×	15,7	×
przyrost zasobów	×	2,4	×
w tym:			
a) gotówki	×	1,2	×
b) oszczęd. bank.	×	1,2	×
stan zasobów pieniężnych	3,8	×	6,2
w tym:			
a) gotówki	1,4	×	2,6
b) oszczęd. bank.	2,4	×	3,6

Nałożmy teraz na wielkości z końca 1988 roku założenia planu. Przychody pieniężne i wydatki mają wzrosnąć po około 60 procent, a zatem osiągną odpowiednio poziom 28 i 25 bilionów złotych. Różnica między tymi wielkościami, czyli zaplanowany przyrost zasobów pieniężnych, wynosi 3 biliony złotych. Dodanie tego przyrostu do stanu zasobów pieniężnych w końcu 1988 roku (5,8 biliona zł) daje łącznie 8,8 biliona złotych, a więc do górnego pułapu zasobów brakujące, 1,4 biliona złotych.

Z powyższego założenia można wprowadzić wniosek, że CPR na rok 1989 zbudowany został według zasady „chciałabym i boję się”. Władza chciałaby utrzymać tempo wzrostu dochodów i cen na takim samym poziomie, co dawałoby szansę na lekką poprawę sytuacji rynkowej (to wynika z pierwszej części zapisu) i boi się, że jej się to nie uda, a wtedy przyrost dochodów wyniesie nie 10,5 a 12 bilionów złotych. Konsekwencje takiego stanu rzeczy byłyby oczywiste. Albo wzrost cen musiałby być wyższy, albo powiększyłaby się nierównowaga (nie można wykluczyć równocześnie jednego i drugiego).

Większość poszlak (pomijając już przedstawioną logikę politycznego kupowania spokoju) przemawia za drugim wariantem. Po pierwsze, w CPR 1989 znajduje się zapis dość kuriozalny i bezprecedensowy. Oprócz bowiem zaplanowanego wzrostu płac w sferze budżetowej o 27 procent (z 46,1 do 58,6 tys. zł)² plan przewiduje „rezerwę wynagrodzeń do dyspozycji Rady Ministrów w kwocie 730 miliardów złotych z przeznaczeniem na zwiększenie wynagrodzeń pracowników sfery budżetowej”. Nie bardzo rozumiem. Jeżeli ceny mają wzrosnąć o sześćdziesiąt procent, a płace w sferze budżetowej jedynie o 27 procent, oznaczać to będzie dalsze ubożenie i tak już spauperyzowanej inteligencji. Jeżeli na podwyżki przeznaczają się dalsze 730 miliardów, to dlaczego od razu nie rozdysponować ich pomiędzy poszczególne działy w społecznie aprobowanych proporcjach. W takim przypadku podwyżka płac w tej sferze wyniosłaby 82 procent, dając szansę na wzrost płacy realnej. Czy jednak rezerwa oznacza, że być może podwyżki tej nie będzie? Kto i w jakiej wysokości ją dostanie? Od czego to będzie zależało? Na te pytania nie mam dobrej odpowiedzi. Być może po prostu jej nie ma. A jeśli tak, to uzasadnione są przypuszczenia, że — tak jak do tej pory — o rozdysponowaniu tych kwot będzie decydowała siła przebiecia. Podobnie jak uzasadnione może być przypuszczenie, że przy silnych, strajkowych naciskach na wzrost płac dużych zakładów — być może — na lekarzach i nauczycielach znowu się nieco zaoszczędzi.

Drugą przesłanką wskazującą na to, że najbardziej prawdopodobnym wariantem rozwoju w 1989 roku jest utrzymywanie wysokiej nierównowagi przy równoczesnej szarpaninie dochodowej i wysokim wzroście cen, jest założenie w planie bardzo niskiego wskaźnika zapasów w handlu. Ma on utrzymać się na grudniowym poziomie 38 dni. Jak już o tym wiemy, jest to bardzo mało. Co więcej, jak powiedział profesor Wiktor Herer na posiedzeniu Komisji Polityki Ekonomicznej i Samorządu Pracowniczego KC PZPR 9 stycznia (cyt. za „Życie Gospodarcze” nr 3): „jest to jeśli nie jedyny, to jeden z nielicznych naprawdę wiarygodnych wskaźników planu, bowiem wszystkie inne są mniej lub bardziej zafałszowane inflacją... Dlatego uważam, że te wszystkie liczby, którymi żalą nas CUP, nie są wiele warte”.

Stefan Kisielewski sformułował kiedyś prognozę, której trafność nieodmiennie od szeregu lat potwierdza życie. Brzmi ona następująco: „obecny rok będzie taki sam jak poprzedni, najwyżej nieco tylko gorszy”. Wydaje się, że i tym razem sprawdzi się ona całkowicie. Tak przynajmniej twierdzą optymiści. Pełniący jak zawsze mawiają, że będzie średnio, gorzej niż było, lepiej niż będzie.

Michał Zieliński

¹ Ładny przykład powyższej tezy podał „Kurier Lubelski” z 13—15 stycznia. W grudniu przeciętne wynagrodzenie w KWK Bogdanka wynosiło 244 tys. zł, w Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej w Opolu Lubelskim (dotowanej kwotą 2,3 mld zł) 164 tys. zł. No comments, mawiają Anglicy.

² Zaplanowane podwyżki rozkładają się dość zartobliwie. Najwyższe są w oświacie, o 40 procent (z 44 do 62 tys. zł) i w wymiarze sprawiedliwości, o 38 procent (z 60 do 82 tys. zł). Najniższe w: nauce, o 18 procent (z 53 do 63 tys. zł — czyli identycznego jak w szkołach), ochronie zdrowia, o 17 procent (z 44 do 51,5 tys. zł) i w finansach, które mają być dzwignią reformy, o 16,5 procent (z 50 do 58 tys. zł).

LISTY

MOŻNA by powiedzieć, że u nas, w kraju, a już w samym naszym regionie jest prasy dużo, a nawet, jak to słyszałem od ludzi, że jest jej zastrzeżenie. Może tak, może i nie. Bo z pewnością jest tych gazetników sporo, ale tak szczerze przyznać, to jakość jest nie najlepsza, nie wszystkie spełniają swoją rolę. Często poszczególne redakcje, wydawnictwa nie myślą o czytelniku. Piszą to, co w ich oczach jest ważne, to, co im się podoba. To nie tak, każdy dziennikarz, pisząc jakiś artykuł, w pierwszym powiniennym pomyśleć, czy on będzie dobry dla czytelnika wytrawnego i przeciętnego. Bo zawodowemu staremu wydawcy-dziennikarzowi dany artykuł wydaje się cenny i dobry, jednak dla przeciętnego czytelnika jest on nie wart, nie ma ochoty go czytać. Każda redakcja, wydawnictwo i wreszcie dziennikarz powinien pamiętać, że każda gazeta to nie dla nich, lecz dla ludzi, dla czytelnika.

Dokładnie zawsze czytam wszystkie gazety wydawane przez Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, tj. „Kurier Lubelski”, „Sztandar Ludu” (ten obowiązkowo), no i „Kamień”. Ta ostatnia była chyba najmniej przydatna dla czytelnika. Była ona pisana językiem trudnym, zawiłym, jak literatura dla profesjonalistów — czytelnika. Literatury w gazecie czytelnikowi nie potrzeba, są różnego rodzaju książki, skrypty, broszury i jeszcze Bóg wie co.

Bardzo dobrze się stało, że pomyślano o czymś dobrym — poczytnym piśmie. Takim jest właśnie pismo „RELACJE”. Gdy zostały one zapowiedziane, to również jak inni czytelnicy, z niecierpliwością na nie oczekiwałem. Myślałem, co to będzie za pismo, jaka wartość, czy takie jak „Kamień”? ~~W~~ tylko ukazał się pierwszy numer, ~~spół~~ ko pobiegłem do kiosku i kupiłem go. Wziąłem ten numer do ręki, popatrzyłem z jednej strony, z drugiej strony, przerzuciłem kartka po kartce. Od razu przypało mi ono do gustu.

Naprawdę nie mogłem się oderwać o czytania. Siedziałem i czytałem kartka po kartce, jak to się mówi, od dechy do dechy. Nie wiem, jak dalsze numery, ale ten pierwszy jest napisany jednym słowem bardzo dobrze. Bardzo mi się podoba. Taką też opinię słyszałem od moich znajomych, którzy także ten pierwszy numer czytali. Ja mówię, jak też i ci moi znajomi mówią, że wreszcie mamy dobre, swoje pismo, jakiego od lat brakowało.

Myślę, że „Relacje” będą bardzo poczytne, oby przypadkiem nie był za mały nakład. „Relacje” tym bardziej będą dobre, że jak popatrzyłem po nazwiskach, to jest bardzo dobry zespół redakcyjny, są to wszyscy wytrawni i dobrzy dziennikarze[...]. Myślę, że naczelnemu z tak dobrymi redaktorami będzie się dobrze pracowało, a nam czytelnikom przyjemnie czytało. Myślę, że właśnie redakcji i nam, czytelnikom, o to chodzi. Moim zdaniem, jak najwięcej relacji z terenu, z tych najbliższych wsi i miasteczek. Będziemy chcieli z pisma się dowiedzieć, co w ogóle w regionie się dzieje. Myślę, że tym naszym wymogom sproście. Jednym słowem, duże brawa dla pierwszego numeru.

Przy tej okazji pragnę Panu, Panie redaktorze naczelny, oraz wszystkim pracownikom redakcji „Relacji” serdecznie pogratulować, życząc, aby w tym nowym roku dobrze i szczęśliwie się Wam pracowało dla dobra czytelnika, dla dobra sprawy naszej ukochoanej Ludowej Ojczyzny. Niech „Tygodniak Wschodni. Relacje” długo nam żyje oraz dobrze służy ludziom pracy.

Marian Mazurek
Chełm

DZIENNIK wojenny Waclawa Flisińskiego, którego druk rozpoczynamy, jest pozycją godną szczególnej uwagi. Będąc w znacznej części dokumentem z epoki stalinowskich łagrów, jest zarazem opowieścią o polskich żołnierskich drogach w czasie II wojny światowej.

Autor, zakończywszy w 1950 r. w swym londyńskim mieszkaniu w dzielnicy Croydon opracowanie obozowych i frontowych zapisków (uzupełnionych licznymi dokumentami, wyciągami z żołnierskiej prasy, zdjęciami, a także — co bardzo ciekawe — listami, które pisywał do żony i córki z zamiarem wręczenia ich kiedyś adresatkom, gdy będzie to wreszcie możliwe po powrocie z wojny do rodzinnego domu), opatrzył maszynopis długim wymownym tytułem:

„Na szlaku drogi ku Nim. Z Polski przez Związek Socjalistycznych Sowietów, Iran (Persja), Irak, Transjordanie, Palestynę, Liban, ponownie — Palestynę, Egipt, Morze Śródziemne i Italię. Od 1 września 1939 roku do 1 grudnia 1946 roku”. I dał jeszcze podtytuł „Listy niewysłane”.

Bo właściwie „Na szlaku drogi ku Nim” (ku żonie Juli i ukochanej córeczce Basi) to jeden ogromny, ponad tysiąc pięćset stron maszynopisu liczący, LIST do dwóch najbliższych istot. Wiara, że „list” ów doręczy kiedyś osobiście, pozwoliła Waclawowi Flisińskiemu przeżyć oraz zachować równowagę ducha w najbardziej nawet ciężkich warunkach.

Urodził się Waclaw Flisiński w 1906 r. w Annopolu jako jedno z ośmiorga dzieci tamtejszego kołodzieja, Tomasza Flisińskiego i jego żony Apolonii ze Zgardzińskich. Po ukończeniu gimnazjum w Janowie Lubelskim rozpoczął pracę w administracji państwowej. Był m. in. sekretarzem Urzędu Gminnego w Janowie Lubelskim, w Dzierżkowicach, a w końcu — w rodzinnym Annopolu. Na tym właśnie stanowisku zastał go wybuch II wojny światowej.

Zonaty był z Julią z Kamińskich, córką janowskiego wicestarosty; z zawodu — nauczycielką. Miał z nią jedyną córkę, Basię, która w 1939 r. liczyła siedem lat. Należał Waclaw Flisiński do pierwszego pokolenia inteligencji. Tej wywodzącej się z kręgów ziemianinów, chłopskich, robotniczych; głęboko patriotycznej, wychowanej i ukształtowanej od dzieciństwa już w niepodległej ojczyźnie.

„Notatki i zapiski — pisze Waclaw Flisiński w słowie wstępnym — prowadziłem zrazu na wolnych, niezadrukowanych kartkach w kalendarzyku firmy »Herbewo« [znana przed wojną wytwórnia gilz i bibulek papierosowych — przyp. M. D.] z Krakowa, na rok 1939. Później na skrawkach papieru listowego, który zabrałem z domu »na wojnę« dla korespondencji.

Prowadzenie moich notatek z przejść i przeżyć z okresu pobytu w niewoli sowieckiej od 18 września 1939 r. do września 1941 r., a następnie przechowywanie ich było bardzo kłopotliwe, utrudnione, a zarazem ryzykowne ze względu na częste rewizje osobiste; szczególnie przy zmianie obozów. A nawet przy zmianie baraku w obrębie tego samego obozu. Zawsze jednak zdołałem zmylić czujność żołnierzy NKWD, podsuwając im rzeczy użyteczne czy przedmioty bardziej pożyteczne niż skrytki ze skrótami [z notatkami — M. D.]

Tak samo miałem podobne kłopoty i trudności przy przewożeniu tych skrótów i streszczeń w czasie drugiej ewakuacji Wojska Polskiego z Rosji Sowieckiej do Pahlavi w Persji, w sierpniu 1942 r. Nie powierzałem tych materiałów nawet najbliższemu kolegom, bowiem nie chciałem ich narażać w razie, gdyby te notatki wpadły w ręce kontrolującego. Urządłem się w ten sposób, że notatki grupkami ukrywałem w urzędowych księgach oficera gospodarczego i w bagażu służbowym, bez wiedzy i świadomości przełożonych.

Podobnie prowadzenie notatek w czasie działań wojennych we Włoszech nastąpiło z trudności ze względu na tajemnicę wojskową oraz zakaz dowództwa 2 Korpusu — gromadzenia prywatnych archiwów w plecakach żołnierskich.

Mimo tych wszystkich niesprzyjających okoliczności dowiozłem szczęśliwie ze sobą notatki, skróty, streszczenia oraz prasę z ZSRR, Iraku, Palestyny i częściowo z Włoch aż tutaj [do Anglii, a następnie do Stanów Zjednoczonych — M. D.] i wynikiem końcowym jest dzisiejsza forma mojego pamiętnika”.

Kilka miesięcy temu maszynopis dziennika wojennego Waclawa Flisińskiego trafił w moje ręce. Przystępując do pracy nad tym ogromnym materiałem, uświadomiłem sobie w pewnej chwili, że przy wszystkich innych wspomnianych już tu cechach posiada on także walor — reportażu. Nagle Waclaw Flisiński objawił mi się jako utalentowany reportażysta. Wrażliwy i wnikliwy obserwator świata. Urodzony narrator, operujący najchętniej tzw. „stylem telegraficznym”, rysujący wypadki i zdarzenia za pomocą krótkich „migawkowych” scenek, składających się na przejmującą w swej wymowie całość. I tę właśnie warstwę tekstu postanowiłem szczególnie wyeksponować.

Trzeba tu podkreślić, że przy całej ostrości spojrzenia na ów „inny świat” (używając określenia Herlinga-Grudzińskiego), na świat obozów dla wziętych w 1939 r. do niewoli polskich żołnierzy, i mimo okropnych doświadczeń, jakie przeżył wraz z towarzyszącymi niedoli na kilku z licznych wysp „archipelagu Gulag”, potrafił przecież Flisiński uchronić się od ślepego zaciętrzewienia.

Waclaw Flisiński zmarł kilka lat temu w Nowym Jorku. Nie żyje już także jego żona Julia, którą wraz z córką sprowadził do Stanów Zjednoczonych. Pani Barbara Flisińska, z zawodu inżynier rolnik (po studiach na UMCS w Lublinie, ukończonych przed wyjazdem z Polski), mieszka na stałe w USA.

Autor „Na szlaku drogi ku Nim” odwiedził kraj kilkakrotnie. Podczas któregoś bytności przekazał jednemu z braci, Antoniemu Flisińskiemu, drukarzowi od lat mieszkającemu w Lublinie, swój dziennik — zobowiązując go do dołożenia wszelkich starań, aby te zapiski wydać drukiem.

Mirosław Derecki

Tekst publikujemy ze skrótami. Uwagi w nawiasach kwadratowych pochodzą od redakcji.

OD ŁAGRÓW KOMI DO WINNIC ITALII

Waclaw Flisiński

W Annopolu, 3 września z rana.

A więc wojna w całej pełni. 1 września o brzasku dnia niemieckie motorowe hordy załaziły nasz kraj od zachodu. Setki samolotów o jednej porze raniutko bombardowały prawie wszystkie miasta polskie. Straty duże. Obrona lotnicza niewystarczająca. Lublin otrzymał również swoją porcję. Ale sklepy otwarte. Ludność czyni ostatnie zakupy na zapas.

Jest niedziela trzeciego września! Autobusem rannym nadeszłym z Ostrowca wyjeżdżam razem z Basią do Lublina. Basia powinna jutro po raz pierwszy w swoim życiu przestąpić próg szkoły, a tu — wojna! Na dodatek Julia [żona autora] od kilku dni leży w Lublinie, w klinice przy ul. Niecałej. Jest już po naglej operacji.

A ja — idę na wojnę! Właśnie 3 września mam się stawić w Lublinie w punkcie mobilizacyjnym...

Ojciec odprowadza nas do autobusu przed pocztę. Uściskaliśmy się serdecznie. Za chwilę autobus ruszył. Siedzimy z Basią koło siebie. W ciągu kilku godzin jazdy dojechaliśmy do Lublina.

W Lublinie ruch nieoczekiwany. Siostra dyżurna nie chce nas wpuścić do Juli; chora — niedawno po operacji. Mówię, że moja sytuacja jest tego rodzaju, że ja odchodzę do wojska i nie wiem, kiedy w ogóle będę mógł zobaczyć żonę. Basia również z nożki na nożkę staje, aby tylko do mamy, do mamy...! Wreszcie — otrzymujemy zgodę lekarza. Ale jeden warunek ma być dopełniony; by chora nie mówiła, nie wzmuszała się, bo to jej może bardzo zaszkodzić. Wszystko, wszystko zrobisz, do wszystkiego się zastosujesz, tylko dajcie mi ją zobaczyć!

Nie pamiętam, czy miałem jakieś kwiaty, czy owoce dla Juli.

Krótko ta wizyta trwała. Stano na tym, że ja Basię oddaję do Eli Zarebskiej; tu, w Lublinie, bo po wyjściu z klinicy Julia się do niej sprowadzi.

Ucałowałem jej dłoń i złożyłem pocałunek na czoło z życzeniami bardzo szybkiego powrotu do zdrowia. Wyszliśmy z kliniki i poszliśmy do Zarebskich.

Kamień z serca spadł. Basię umieściłem. Julę odwiedziłem. A teraz — do koszar. Na wojskowe pielesze.

Lublin, 4 września 1939.
W koszarach na Wrotkowskiej.

Po zgłoszeniu się w biurze Kadry Zapasowej 2 Szpitala Okręgowego w Lublinie dostałem przydział do 4-go plutonu Rezerw. Ale funkcyjnie zatrzymało mnie w kancelarii Kadry na stanowisku p.o. szefa kancelarii, bowiem poprzedni szef został wysłany z oddziałem szpitalnym na front zachodni.

Głusk, 8 września 1939.
Szkoła Powszechna.

Jedną z pierwszych porannych bomb, jakie spadły wczoraj na Kadre, trafiła w róg budynku, a druga — w środek. Z tych więc zapewne względów plk Tabidze (Komendant Kadry) rozkazał ewakuować Kadre poza Lublin, do miejscowości Głusk. Wyjechaliśmy z Lublina w godzinach popołudniowych i ulokowaliśmy się tutaj w budynku szkolnym. Ale i tu znajdują nas lotnicy niemieccy. Już od rana zaczyna się nękanie okolic Głuska, a w szczególności — pobliskiego lotniska w

ronną. Z Lublina do Wisły przy Annopolu odległość 80 km, a od Kazimierza — jeszcze mniej.

Głusk, 9 września 1939.

Z rana dostałem delegację do Lublina. W chwili, gdy znajdowałem się na Placu Bernardyńskim obok kościoła — nastąpił kolejny nalot całej masy niemieckich samolotów. Całe Krakowskie Przedmieście z przyległościami oraz Stare Miasto legły w gruzach...

Obywatelska służba sanitarna z opaskami OPL zaraz po ustaniu nalotu sprzątała zabitych z placu. Układa się ich na cmentarzu obok kościoła. Ulica Kapucyńska [dziś Osterwy], przyległa do Krakowskiego Przedmieścia — w gruzach. Kamienice jedna przy drugiej — rozdarłe, świecą oczodolami odsoniętych wnętrza mieszkalnych.

Po załatwieniu spraw w mieście jadę do koszar na Wrotkowskiej. A tam — żywego ducha. Wszystko stoi otworem. Budynek rozbity na dwoje. Szup elektryczny obok budynku, po prawej, pali się jeszcze, jak żywa pochodnia. Na dziedzińcu leżą zabite konie. Bardzo przykry widok.

Miałem dzisiaj, będąc w mieście, wstąpić do państwa Zarebskich, aby odwiedzić Julę i Basię. Po drodze dowiedziałem się jednak, że już ich tam nie ma. Przed dwoma dniami opuściły Lublin. Szczęście, że pojechały do domu do Annopola. Zawsze to w domu wygodniej i przyjemniej niż u ludzi najbardziej nawet przychylnych.

Jakoś się czuje, Julę, z Tobą i przy Tobie, biedne Moje Kochane Małeństwo?! Na pewno ciągle mówiła: „Nie płacz Mamusiu, nie wolno ci przecież płakać!”. Jak reagowała nasza Basia na obecną sytuację? Wojna to przecież dla niej coś bardzo nowego i niesłychanego. A ona tak zawsze bała się o Tatka od najdawniejszych dni swego młodzieńczego żywota.

Zgodnie z planem dalszej ewakuacji — opuszczamy Głusk.

Chełm, 12 września 1939.
Szpital Okręgowy.

Po przybyciu do Chełma spotkaliśmy w Szpitalu Okręgowym plk. Tabidze, wraz z szoferem — motocykl.

Plk. Tabidze ostrzelany został w drodze przez niemiecki samolot. I on, i szofer mają obandażowane twarze. Oglądamy motocykl. Rozbitą zegar, podziurawioną tułami przyczepką, Sektę

Córce mojej poświęcam

Świdniku. Zmusi nas to chyba do dalszej zmiany miejsca postoju...

Któregoś z poprzednich dni byłem w biurze MOB, gdzie na ścianie wisiała dużych rozmiarów mapa Polski. Kpt. Kowal, bodajże, informował któregoś z oficerów o przygotowywaniu obrony na Wiśle. Wywnioskowałem z tego, że Niemcy już tak daleko zeszli na wschód, że Wisła staje się granicą ob-



Waclaw Flisiński, zdjęcie z 1939 roku.

Repr. Waldemar Stępień

z rozbitego zegara pokaleczyło twarze szoferowi i siedzącemu w łódce pułkownikowi.

Dostajemy wiadomość, że dzisiejszej nocy mamy wyjechać do pobliskich Czulczyc, gdzie ma być rozwinęta kancelaria Kadry, w celu przyjmowania nowo przybyłych rezerwistów.

Kadra Zapasowa z Lublina — w Czulczycach, 13 września 1939.

Kwaterujemy w budynku szkolnym. Zgłaszają się rezerwiści szukający przydziałów. Przybyło także kilku oficerów z Kadry Szpitala Nr 4 (Poznań).

W Chełmie i okolicy naloty samolotów i bombardowanie. Praca staje się uciążliwa.

Z naszego mp. widać jak na dłoni walki samolotów nad Chełmem. Pewnego dnia wieczorem od strony Włodawy nadleciały nad Chełm 4 niemieckie bombowce. Kiedy znalazły się nad miastem, przywitała je nasza artyleria przeciwlotnicza. Samoloty natychmiast rozbiegły się po niebie. Nic im to jednak nie pomogło. Trzy samoloty lecia po chwili na łeb w dół, a jedyny pozostały zmyka z pola walki...

Takiego żalnego ryku maszyny lotniczej nigdy przedtem nie słyszałem. Był to raczej skowyt ugodzonego psa.

W Klewaniu, 17 września 1939, w nocy.

Przed kilkoma dniami (15 września) opuszczaliśmy nasze kwatery w Czulczycach pod Chełmem. Podjechaliśmy ciężarówką samochod, zapakowaliśmy kancelaryjne „graty” i — jazda w drogę. Samochód nasz, bez świateł, w ciemnościach, po omacku posuwał się w kolumnie wozów konnych, samochodów różnych typów i różnych marek.

I w ten sposób 16 września dojechaliśmy jakoś do Łucka. A właściwie to do podludzkiej miejscowości Zaturce.

Sam Łuck — zniszczony przez bomby. Przy drodze zasypanej gruzem widać dopalające się resztki drewnianych domów. Nieoczekiwany niemiecki nalot zaskoczył miasto. Niemcy atakowali Łuck podobno na wieść, że znaleźli się tutaj członkowie naszego rządu w drodze z Lublina.

O świcie 17 września dobijamy do stacji kolejowej Klewan. Na torach — rozbita ewakuacyjny pociąg wojskowy marynarzy z Gdyni czy też z rzecznej floty i pińskiej. Marynarze i ich rodziny. Zbieramy na wozy kobiety i dzieci. Sami maszerujemy piechotą.

Okóło południa — postój w lesie.

Po południu 17 września, po zmianie wozów, ruszamy w dalszą drogę. Podwozy z Zaturce mają wrócić do domu.

Ludność z sąsiednich wsi niechętnie wychodziła na podwozy. Poszedł po te wozy Boiek Rysak, z którym od Lublina trzymamy się razem, wraz z kilku uzbrojonymi ludźmi. W końcu pojawili się gospodarze z końmi i wozami. Ale — pod eskortą.

Boiek przyniósł wiadomość że wsi, że radio Moskwa nadało audycję, w której podkreślano konieczność wzięcia w opiekę sowiecką uciśnionych braci Białorusinów i Ukraińców. I drugą wiadomość: że wojska sowieckie dzisiaj o świcie przekroczyły granicę polsko-sowiecką na całej jej długości!

„W jakim celu?!” — cisnie się na usta pytanie.

Noc, 17 września; gdzieś około dwunastej.

Włączamy się po bardzo piaszczystej drodze. W pewnej chwili — konie stanęły. „Co jest?!” — pyta nasz woźnica tego, który jedzie przed nami. Wszystkie podwozy stają.

Biegnę do przodu, do wozu na którym jedzie jeden z naszych oficerów, aby się czegoś dowiedzieć. Gwarno koło tego wozu. Kilkunastu obcych oficerów i nasi. Nadstawiam ucha. Słyszę urwyki zdań: „dzisiaj rano wojska bolszewickie przekroczyły naszą granicę”, „przemówienie Mołotowa przez radio”... „ulotki zrzucone przez samoloty...”

Zrozumiałem, że dalej jechać nie ma celu. Powróciłem do swojego wozu. Powtórzyłem Bołkowi Rysakowi zasłyszaną rozmowę. Pokrywała się z wiadomościami, jakie Boiek uzyskał dziś rano od nauczycielki we wsi.

(Koniec odcinka 1. — cdn.)

Podał do druku i opracował:
Miroslaw Derecki

JAKA POLSKA, JAKA WŁADZA? (5)

„PKWN POWSTAŁ JAKO TWÓR PRZEJŚCIOWY”

Janusz Wrona

PODSTAWĄ działania Rządu Obrony Narodowej, proponowanego przez przedstawicieli lubelskiej Delegatury władzom PKWN, miała stać się konstytucja z 1921 r. Funkcję premiera rezerwowano dla przedstawiciela głównego nurtu socjalistycznego, tj. pozostającego dalej w konspiracji PPS WRN. Reprezentant tej partii, Tomasz Arciszewski, przewidywany był na stanowisko prezydenta RP.

Podział 17 tek ministerialnych miał wyglądać następująco: reprezentanci Polskiej Partii Socjalistycznej i Stronnictwa Ludowego objęliby po pięć ministerstw. Politycy z tych ugrupowań mieli wywodzić się z trzech głównych środowisk: Związku Patriotów Polskich (1), kraju (2), Londynu (2). Po dwa resorty otrzymałyby Polska Partia Robotnicza i Narodowa Demokracja. Przewidywano udział w rządzie komunistów wywodzących się ze środowiska ZPP. Endecję reprezentować miał jeden polityk z kraju i jeden z Londynu. W Radzie Ministrów planowano udział przedstawiciela Partii Pracy (działacz krajowy) i Stronnictwa Demokratycznego (ze środowiska ZPP).

Ogółem w składzie Rządu Obrony Narodowej miało być sześciu przedstawicieli z kraju, sześciu reprezentujących ZPP oraz pięciu z Londynu. Najsilniejszą pozycję w projektowanym rządzie uzyskiwali socjaliści, a następnie ludowcy. Jest to zrozumiałe, gdy weźmiemy pod uwagę proveniencję partyjną twórców koncepcji Rządu Obrony Narodowej.

Celem działania RON miała być demokracja z administracją, służby bezpieczeństwa, armii, wyniaru sprawiedliwości, życia gospodarczego i kulturalnego. Deklarowano poszanowanie praw i wolności obywatelskich, ale z zachowaniem cenzury i zastrzeżeniem, że są „niedozwolone oszczerstwa i napaści na Rząd, władze ustawodawcze, wykonawcze lub napaści natury osobistej na Rząd i ich organy wykonawcze”.

Rzeczywistość polityczna, w jakiej kontencie formułowano te propozycje i projekty, skłaniała inicjatorów koncepcji Rządu Obrony Narodowej do wysunięcia zastrzeżenia, iż „w zakresie służby bezpieczeństwa NKWD nie może wykonywać żadnej władzy w stosunku do obywateli polskich”.

Klucz partyjny, stosowany przy tworzeniu władzy wykonawczej, posłużyłby do wykonania tymczasowego sejmu w składzie stu posłów, których liczbę miano trzykrotnie powiększyć po oswojeniu kraju. Termin wyborów powoznych projektowano „w rok po uwolnieniu kraju”. Wybrany Sejm Ustawodawczy miał uchwalić nową konstytucję. Przewidywano sejmową odpowiedzialność rządu i poszczególnych ministrów.

Niepodległa i suwerenna Polska dążyłaby do dobrosąsiedzkich stosunków z ZSRR oraz USA i Anglią, a także pozostałymi demokratycznymi państwami w świecie.

Ustalenie ostatecznego kształtu granicy wschodniej scedowano na Konferencję Pokojową po zakończeniu II wojny. Sformułowanie dokumentu (rewindykacja) zdaje się wskazywać, iż przewidywano korektę tej granicy na korzyść Polski. Na zachodzie Polska miała otrzymać nabytki terytorialne kosztem pokonanych Niemiec.

Deklarowano „bezwzględna walkę z sanacją, ONR, wszelkimi przejawami faszyzmu”. Postulowano „usunięcie Raczkiewicza z prezydentury oraz wszystkich osób wpływowych z sanacji od Rządu i wpływu na politykę kraju”.

Armia Polska miała stanowić połączenie polskich formacji zbrojnych w kraju oraz powstałych na wschodzie i zachodzie. Na jej czele stawiano „kollektywne dowództwo” w składzie pięciu generałów: po dwóch z I Armii WP i Armii Krajowej i jednego z Londynu. Wspomniane gremium wybierałoby naczelnego dowódcę. W razie braku porozumienia decyzja w tej sprawie należała do Prezydenta RP.

Koncepcja Rządu Obrony Narodowej zawierała interesujące elementy kompromisu politycznego. Za najważniejsze — z punktu widzenia sytuacji z roku 1944 — należy uznać odejście obozu londyńskiego od fundamentalnej zasady trwałości postanowień traktatu ryskiego. Stanowisko przedstawicieli lubelskiej Delegatury i komunistów zbliżało też projekt tymczasowego sejmu. Taką rolę w istocie odgrywała KRN. Spełniono również jeden z warunków porozumienia, dotyczący odrzucenia konstytucji kwietniowej z 1935 r. i uznania ważności konstytucji marcowej z 1921 r. Zbliżone były stanowiska wobec układu sił politycznych, które winny uczestniczyć w rządzie. W 1944 r. kierownictwo PPR nie przesądzało rozwiązań, które doprowadziły później do ostatecznej eliminacji endecji z legalnego życia politycznego kraju. Wspólna była także deklarowana niechęć względem sanacji.

Do porozumienia jednak nie doszło. Aleksy Bien pisze o okolicznościach, które przyniosły fiasko tej inicjatywy: „W tym czasie przyszła wiadomość, że Mikołajczyk przybył do Moskwy na kontraktacje i Kempa od Matuzewskiego otrzymał wiadomość, że wobec toczących się w Moskwie rozmów nasza koncepcja staje się nieaktualna”.

Przyczyny były zapewne bardziej złożone. Niewątpliwą rzeczą jest, że Stanisław Mikołajczyk stanowił dla Stalina i PKWN partnera o zupełnie innym wymiarze, wręcz nieporównywalnym, aniżeli grupa działaczy skupiona w lubelskiej Delegaturze. Rozmowy w Moskwie nie przyniosły jednak sukcesu. Mikołajczyk nie przyjął ofiarowanego mu przez Bieruta fotela premiera w rządzie polskim, jaki miał powstać na bazie PKWN.

Mimo tego nie powrócono do propozycji przedłożonych przez przedstawicieli obozu londyńskiego w Lublinie. Brak źródeł nie pozwala odtworzyć wszystkich uwarunkowań, które o tym zadecydowały. Można jednak zaryskować hipotezę, iż decydujące znaczenie posiadały dwie kwestie.

Po pierwsze, proponowana platforma porozumienia komplikowałaby stosunki polsko-radzieckie (dążenie do korekty granicy wschodniej, zanegowanie uprawnień NKWD w stosunku do Polaków). Po drugie, projekt Rządu Obrony Narodowej w swej istocie dążył do odebrania komunistom hegemonii w życiu politycznym kraju, uwidocznionej od ukonstytuowania się PKWN.

HILARY MINC na rozszerzonym posiedzeniu Biura Politycznego KC PPR w październiku 1944 r. stwierdził: „PKWN powstał jako twór przejściowy. Autorzy skłedili go z takiego ciasta, jakie było pod ręką, licząc się z tym, że po powiązaniu się z masami ulegnie zmianie... To jest taka chuderlawa szkapka, którą trzeba ciągnąć za ogon. Tej Idiotenregierung, która miała trwać kilka tygodni, nadano prawa obywatelskie. [...] Za PKWN my, komuniści, musimy brać odpowiedzialność”.

Zasada dominacji w życiu politycznym była kanonem paperowskiej koncepcji: sprawowania władzy. W opar-

ciu o nią budowano instytucję KRN i PKWN. Tymczasem proponowany przez lubelską Delegaturę klucz tworzenia rządu i tymczasowego sejmu oddawał władzę w ręce socjalistów i ludowców, tj. ugrupowań, które faktycznie posiadały największe wpływy polityczne wśród chłopów i robotników.

Okoliczności powstania PKWN powodowały, że w PPR unikano w tym czasie rozważań o socjalizmie. Podstawowym pojęciem tego okresu była natomiast demokracja. „Nowa demokracja” miała obejmować polityczną, gospodarczą i kulturalną sferę życia. W rozumieniu W. Gomułki, który jako pierwszy próbował we wrześniu i październiku 1944 r. zarysować ramy paperowskiej demokracji, wykluczała ona wolną grę sił politycznych, główny fundament tradycyjnego pojmowania demokracji oraz zakładała zdecydowaną walkę z tzw. reakcją.

Jednym z najistotniejszych elementów tej koncepcji było wyekspozowanie przez komunistów decydującego miejsca PPR w wielopartyjnej strukturze państwa. „Na nas przede wszystkim zwrócone są dzisiaj oczy najszerszych mas pracujących, gdyż w naszej partii widzą one najbardziej dynamiczną siłę tworzącą odradzającą się Polskę” — mówił Gomułka w październiku 1944 r.

Czy zaprezentowana ocena odzwierciedlała realne procesy polityczne i społeczne, czy była raczej wykładnią tzw. rzeczywistości postulowanej?

Historyk, który badał materiały z okresu PKWN, znajdzie wiele ocen wskazujących, iż opinie „najszerszych mas pracujących” względem komunistów były bardzo zróżnicowane. Za podsumowanie tego problemu można uznać refleksje przedwojennego komunisty wileńskiego, Kazimierza Petrusowicza, który w okresie PKWN pełnił odpowiedzialne funkcje w Biurze Ekonomicznym kierowanym przez H. Minca. Petrusowicz wspomina o częstych dyskusjach i argumentach, jakie różne środowiska wysuwały przeciwko komunistom:

„Przecież gdyby nie było Czerwonej Armii, to by was zmieciono, przecież nikt was nie chciał, posłuchajcie, co mówią robotnicy, a tym bardziej ich żony w kolejkach po chleb, posłuchajcie co mówią chłopci, którym zabieracie kontyngenty. Oni nawet waszej reformy nie chcą — mówiono nam. Trudne to były dyskusje. Wiele argumentów było prawdziwych. I zwykle wysuwali je ludzie uczciwi, a często bynajmniej nie reakcyjni, ludzie rzetelni, uczciwie, ideowo pracujący [...] Tak, to prawda, że na nas psioczyli, i to nie tylko inteligencja. [...] Psioczył robotnik i jego żona, psioczył chłop. Psioczył, ale nie strajkował”.

PPR-owska koncepcja „nowej demokracji”, nawet jeżeli zawierała intencje „dokonania rewolucji w majestacie prawa” w zderzeniu z nastrojami społeczeństwa nie miała warunków na pokojowe urzeczywistnienie, choćby w związku z traktowaniem PKWN jako władzy narzuconej oraz skutkami działalności radzieckich służb bezpieczeństwa.

W momencie powstania PKWN komuniści byli zbyt kontrowersyjni (pamiętano o ich stosunku do niepodległego państwa polskiego przed II wojną światową, o 17 września 1939 r., a także o akceptacji linii Curzona), a zarazem zbyt słabi, by mogli realnie myśleć o politycznej akceptacji swojej dominującej pozycji przez inne ugrupowania polityczne.

(cdn.)

PLAC budowy przy ul. Zana: wykopy, błoto, rozrzucone materiały budowlane. Nieco dalej, harmonizujący z tym obrazem barak, który od 13 lat jest siedzibą Instytutu Wychowania Artystycznego Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie; w tym roku, od 1 lutego instytut otrzymał uprawnienia wydziału.

Powołano go przed laty po to, by kształcił nauczycieli wychowania pla-

stycy. I śmiej przypuszczać, że rok miniony nie był wyjątkiem. Wniosek? Oczywiście: absolwenci chcą być artystami, a nie nauczycielami.

Uzyskując uprawnienia wydziału — instytut otrzymał samodzielność i wynikającą z tej samodzielności możliwość dokonywania zmian programowych. Opracowano więc odpowiedni projekt zmian, który przewiduje zwiększenie liczby godzin zajęć artystycz-

kladać, że wpływ lubelskich artystów na obraz polskiej sztuki będzie znaczący.

Dyrektor Sławomir Mieszkowski powiedział: „Nie ukrywam, że będziemy parli dalej: poprzez rozwój kadry do powstania wydziału”. Jak rozumieć ten „rozwoj kadry”? Czy ma to być rozwój obecnie zatrudnionych w instytucie, czy „podkupowanie” kadry Akademii Sztuk Pięknych? Co to jest dobra kadra? Jerzy Kostka: „To muszą

kazali się wybitnymi osiągnięciami kwalifikującymi ich do otrzymania dyplomu z wyróżnieniem. Takie dyplomy na początku otrzymywały (średnio) dwie osoby rocznie. Obecnie Wydział Sztuk Pięknych w Toruniu opuszcza co roku około 15 absolwentów, zaś dyplomy magistra sztuki dostaje około 7—8 osób. W Instytucie Wychowania Artystycznego studiuje ponad 500 osób. Chcąc trzymać się wzoru toruńskiego należałoby przede wszystkim radykal-

LUBELSKI SEN O SZTUCE (PLASTYCZNEJ)

Violetta Krasnowska

stycznego i przygotowywał do pracy propagatorów sztuki. A czym jest? Jerzy Kostka, były pracownik tego instytutu nazwał go „przechowalnią sztuk pięknych”. Bardziej uparci, będąc już studentami instytutu starają się nadal do nich dostać. Nie raz na moje pytanie: „dlaczego studiujesz tutaj?” słyszałam odpowiedź: „bo oblałem(am) egzamin na akademię”. Dla wielu instytut jest więc uczelnią zastępczą: zaspokaja ambicje i aspiracje twórcze, a dostać się tu jest dużo łatwiej. Łatwiej, bo nie ma przecież tak jak w akademii, selekcji wstępnej kandydatów, czyli konkursu teczek, a oceny z przedmiotów artystycznych — tj. z rysunku, malarstwa, rzeźby — nie są brane pod uwagę przy wyliczaniu końcowej oceny z egzaminów. Program nauczania zaś, zdaniem dyrektora instytutu, doc. Sławomira Mieszkowskiego różni się w gruncie rzeczy od programu studiów w wyższych uczelniach artystycznych. Odmienność polega tylko na tym, że tutaj zmniejszony jest blok przedmiotów artystycznych na rzecz przedmiotów pedagogicznych.

Do Instytutu Wychowania Artystycznego przychodzi m.in. ci, dla których zabrakło miejsca w akademiach sztuk pięknych. Bardziej uparci, będąc już studentami instytutu starają się nadal do nich dostać. Nie raz na moje pytanie: „dlaczego studiujesz tutaj?” słyszałam odpowiedź: „bo oblałem(am) egzamin na akademię”. Dla wielu instytut jest więc uczelnią zastępczą: zaspokaja ambicje i aspiracje twórcze, a dostać się tu jest dużo łatwiej. Łatwiej, bo nie ma przecież tak jak w akademii, selekcji wstępnej kandydatów, czyli konkursu teczek, a oceny z przedmiotów artystycznych — tj. z rysunku, malarstwa, rzeźby — nie są brane pod uwagę przy wyliczaniu końcowej oceny z egzaminów. Program nauczania zaś, zdaniem dyrektora instytutu, doc. Sławomira Mieszkowskiego różni się w gruncie rzeczy od programu studiów w wyższych uczelniach artystycznych. Odmienność polega tylko na tym, że tutaj zmniejszony jest blok przedmiotów artystycznych na rzecz przedmiotów pedagogicznych.

Kogo więc kształcił Instytut Wychowania Artystycznego? Artystów czy nauczycieli? Jerzy Kostka stwierdza: „Oni chcą tak bardzo być artystami, że pieniądze przeznaczone na kształcenie pedagogiczne są pieniędzmi wyrzuconymi w błoto”. I poniekąd ma rację, gdyż statystyka mówi sama za siebie. W roku ubiegłym na przykład z 24 absolwentów instytutu jedynie 5 osób podjęło pracę w swoim wyuczonym zawodzie — nauczyciela. Pozostali podejmują najczęściej pracę jako

plastycy. I śmiej przypuszczać, że rok miniony nie był wyjątkiem. Wniosek? Oczywiście: absolwenci chcą być artystami, a nie nauczycielami.

Uzyskując uprawnienia wydziału — instytut otrzymał samodzielność i wynikającą z tej samodzielności możliwość dokonywania zmian programowych. Opracowano więc odpowiedni projekt zmian, który przewiduje zwiększenie liczby godzin zajęć artystycz-

nych, oraz — co najważniejsze — wydawanie najdłuższym studentom dyplomów artysty. O wyborze takich studentów będzie w przyszłości decydowała rada artystyczna złożona z wybranych, samodzielnych pracowników instytutu. Dyrektor S. Mieszkowski powiedział mi: „Mamy młodzież zdolną. W konfrontacji artystycznej ze studentami innych uczelni nie wypadła ona gorzej. Nie widzę więc powodu, żeby się dalej oszukiwać i chować głowę w piasek. Nie kształcimy źle. Musimy najdłuższym dawać dyplomy zawodowe. A to będzie bodźcem dla nich, tutaj studiujących, żeby dać z siebie maksimum”.

Absolwent instytutu status artysty mógł uzyskać również, po zaprezentowaniu swojego dorobku artystycznego w związku twórczym. Przyjęcie do związku było równoznaczne z otrzymaniem uprawnień zawodowych. Status artysty daje prawo do posiadania większej powierzchni mieszkalnej lub pracowni, bezpłatną opiekę lekarską, możliwość sprzedawania prac w „Desie” w sklepach „Sztuki Polskiej” i galeriach, a podatek od sprzedawanych dzieł członek związku płaci mniejszy, niż artysta amator. Co więc zmieni przyznanie takich uprawnień przez radę artystyczną? Zdaniem Jerzego Kostki doprowadzi to do zagęszczenia, miernoty, do łatwizny, a zlecającym da możliwość manewrowania i pozyskiwania tanich projektów. Dodaje: „Ja bronię zawodowości ludzi; tych, którzy pracują na rynku od wielu lat, mają praktykę i doświadczenie przed wpływem dużej liczby takich ludzi, którzy obniżają poziom”. Zakładając, że liczba studentów na przyszłym Wydziale Artystycznym UMCS nie zmieniłaby się, można przypuścić, że w grę wchodziłoby około 50 dyplomów zawodowych rocznie. Zważywszy, że mury wszystkich uczelni artystycznych kształcących artystów opuszcza co roku 500—700 absolwentów, można za-

być artyści z prawdziwego zdarzenia, renomowani artyści. Mało tego: oni muszą mieć dar nauczania. Bo poziom kształtuje kadra. Bardzo mądzy ludzie i wielcy artyści. Z tego mogą być dopiero efekty”. Oglądając wystawy prac studentów instytutu trudno mówić o wysokim artyzmie. Prace są w zasadzie poprawne, i to nie wszystkie. Cechą wspólną tych prac jest epigonizm. I nie wiadomo, czyja to wina. Czy nauczyciele nie mają daru przekazywania swoich doświadczeń, czy też ta zdolna młodzież jest czegoś tępa i leniwa? Jak więc rozruszać i naprowadzić na prawdziwe i twórcze tory tę utalentowaną młodzież? Myślę, że świeży „zastrzyk” nowych, wybitnych artystów jako nauczycieli byłby w tej sytuacji najlepszym rozwiązaniem. Ale kto zechce przyjść do niewyrobnionej artystycznie Lublina, gdzie nie ma rynku sztuki, gdzie mało jest galerii i mieszkań z pracowniami? Trudno liczyć na filantropię. Nie oszukujmy się, że renomowani artyści zrezygnują z możliwości obcowania z tradycją uznanych akademii, a przede wszystkim z możliwości kontaktu z odbiorcą, który jest przygotowany do przyjęcia sztuki i posiada dobry smak artystyczny.

Władze instytutu planując przekształcenie go w Wydział Artystyczny odwołują się do analogii: istnieje przecież Wydział Sztuk Pięknych w Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Ale w tym przypadku pamiętać trzeba, że wydział w Toruniu powstał w oparciu o przybyłą tam po wojnie kadrę artystyczną Uniwersytetu im. Stefana Batorego w Wilnie i Uniwersytetu im. Jana Kazimierza we Lwowie, gdzie istniały wydziały sztuk pięknych. Od paru lat rzeczywiście na wydziale tym przyznawane są dyplomy magistra sztuki i magistra wychowania plastycznego w zakresie malarstwa, rzeźby i grafiki. Takie dyplomy otrzymują ci studenci, którzy wy-

nie zmniejszyć liczbę studentów. Dyrektor jest pełen optymizmu i twierdzi, że skoro w Toruniu się udało, „to my też będziemy sobie jakoś radzić”. Jakoś... Trzynastoletnia wegetacja instytutu w baraku może nie wynika z niechęci władz uczelni do tego co tam się robi, ale z jakiejś aury, która doc. Mieczysław Herman, pracownik instytutu, określił następująco: „Lublin jest miastem, w którym nigdy sprawy sztuki, sprawy kultury nie miały zbyt dobrej gleby, która by pozwalała na to, żeby to rosło i rozkwitało. To jest przedziwne miasto, które nigdy nie miało szansy ani chęci forowania spraw sztuki w bardzo szerokim pojęciu. Nie wiem czym to tłumaczyć. Czy klimat jest kiepski, czy ludzie są tacy”.

W podsumowaniu trzeba zadać jeszcze kilka pytań. Po pierwsze: czy realizacja planów przekształcenia instytutu w wydział związana z ogromnymi kosztami (dyrektor Sławomir Mieszkowski oblicza je na miliard złotych, w związku z koniecznością wybudowania budynku instytutu) jest „na czasie”? Po drugie: czy jest jakikolwiek sens w mnożeniu utytułowanych artystów wobec zastraszającego braku propagatorów sztuki? Po trzecie: czy warto powielać błędy lat siedemdziesiątych i tworzyć wydział nie posiadając odpowiedniej do tego bazy i kadry? Po czwarte: czy wobec faktu, że liczba artystów w Polsce przeznaczonych do uprawiania „sztuki czystej” — malarstwa, rzeźby i grafiki — jest podobno niemała (niektórzy krytycy i publicyści twierdzą, że jest nawet „nadprodukcją”) ma jakikolwiek sens pomnażanie zastępów takich artystów? I to w sytuacji, kiedy np. do odnawiania zaniebanych zabytków tak potrzebni są konserwatorzy, a do zniszczenia pokładów brzydoty w polskich miastach i w produkowanych w Polsce wyrobach przydałoby się raczej projektanci wnętrza, dekoratorzy i im podobni fachowcy.

SPÓŁKA Z O.O. „CONTACT” OFERUJE

- magnetowidy
- kamery video
- telewizory kolorowe (firm zachodnich)
- kasety video i magnetofonowe
- komplety kabli video
- kserokopiarki
- kalkulatory
- profesjonalny sprzęt fotograficzny
- sprzęt komputerowy
- radiomagnetofony, wieże i inny sprzęt audio.

JESTEŚMY W STANIE ZREALIZOWAĆ
KAŻDE ZAMÓWIENIE
WYSTAWIAMY RACHUNKI
BIAŁA PODLASKA, ul. 1 Maja 1,
tel. 363-63, tlx 863432

454/K-5

„RELACJE” MOŻNA ZAPRENUMEROWAĆ

W związku z wieloma pytaniami o możliwość zaprenumerowania naszego pisma jeszcze w tym roku — informujemy:

- Prenumeratę przyjmują oddziały RSW „Prasa — Książka — Ruch” (w miastach) oraz urzędy pocztowe i doręczyciele (we wsiach).
- „Relacje” można zaprenumerować na II, III i IV kwartał roku bieżącego.
- Prenumerata przyjmowana jest do dnia pierwszego każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty (a więc np. na II kwartał, bądź na trzy kwartały br. — do 1 marca).
- Cena prenumeraty: kwartalnie — 650 zł; na trzy kwartały — 3x650 zł.

Z KSIĘGARNI

DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Anna Karwińska: „Bajki moich przyjaciół”, Wyd. Literackie, 450 zł.

Andrzej Zak: „Rycerz Króla Jegomości. Polskie opowieści rycerskie”, Wyd. „Śląsk”, 490 zł.

Marek K. Mlicki: „Świadome człowieczeństwo”. Nasza Księgarnia, 550 zł. Książkę tę polecamy młodym poszukującym odpowiedzi na pytanie: co to znaczy być człowiekiem?

POEZJA

Czesław Miłosz: „Nieobjęta Ziemia”, Wyd. Literackie, 500 zł.

DRAMAT

Molier: „Dziela”, PIW, t. I/III, cena tomu 1400 zł.

PROZA

Izaak Babel: „Historia jednego konia”, Czytelnik, 800 zł. Najobszerniejszy w Polsce wybór dzieł wielkiego pisarza radzieckiego, ofiary zbrodni stalinowskich.

Jalu Kurek: „Woda wyżej”, Wyd. Literackie, 450 zł. Powieść o wielkiej powodzi w lipcu 1934 r. i o związanej z nią akcji ratowniczej. Kolejny tom w serii „Pisma wybrane” tegoż autora.

Helena Mniszek: „Trądowata”, Wyd. Literackie, t. I/II, 1800 zł. Wznawienie.

BIOGRAFIE, MONOGRAFIE

Henryk Zbierski: „William Shakespeare”. Wiedza

Powszechna, 1300 zł.

Drahoslav i Ivan Machalowie: „Hemingway reporter”, Wyd. „Śląsk”, 1050 zł.

Kazimierz Żorawski: „Ivo Andrić”, Czytelnik, 400 zł.

Jan Klima: „Simon Bolivar”, Wyd. „Śląsk”, 690 zł.

LITERATURA NAUKOWA I POPULARNONAUKOWA

Maria Janczynowska: „Historia starożytnego Rzymu”, PWN, 700 zł.

Mieczysław Klimowicz: „Literatura Oświecenia”, PWN, 550 zł.

Włodzimierz Szewczuk: „Sumienie. Studium psychologiczne”. Książka i Wiedza, 500 zł.

„Czy Polacy są klerykalni”, Wyd. Almapress, 550 zł.

Bożena Kowalska: „Polska awangarda malarska 1945—1980. Szanse i mity”, PWN, 2000 zł.

ALBUMY

Maria i Bogdan Suchodolscy: „Polska — naród a sztuka. Dzieje polskiej świadomości narodowej i jej wyraz w sztuce”. Arkady, 13 400 zł. Ilustracje stanowią reprodukcje najslawniejszych dzieł polskich artystów.

„Pielgrzymka do świata”, Interpress, 15 200 zł. Znakomicie zilustrowany opis podróży Jana Pawła II.

(2)

TV

CZWARTEK, 16 LUTEGO

Program I

8.35 Domator, 8.50 Domowe przed-szkole, 9.15 Dł — wiadomości, 9.25 „Dempsey i Makepeace na tropie” (12) — „Nowojorskie powiązania”, 10.15 Domator, 10.45 Encyklopedia zakopiańska — „Makuszyński” (2), 10.55 Domator, 16.00 Program dnia, Dł — wiadomości, 16.05 Na Kujawach — film dok. Zbigniewa Raplewskiego, 16.25 Kwant oraz film „Edisonowie” (4), 17.15 Teleexpress, 17.30 Pieśń ujdzie cało — wojskowy program historyczny, 17.55 Rejs — film dok. Krzysztofa Juszkiewicza, 18.20 Sonda. Wysokie loty, 18.50 Dobranoc: Pająk Chwał, wszystkich brat, 19.00 10 minut, 19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy, 19.30 Dł, 20.05 „Dempsey i Makepeace na tropie” — „Nowojorskie powiązania” — serial prod. ang., 21.00 Pegaz, 21.50 Spodkowe rockowania — program rozrywkowy, 22.15 Prezydenci — Rutheford B. Haies,

Program II

16.55 Język francuski (16), 17.25 Program dnia, 17.30 Do szkoły pod górke, 18.00 Program lokalny, 18.30 Magazyn „102”, 19.00 „Muppet show czyli rewia gwiazd” — Lou Rawls, 19.30 Puls — magazyn medyczny, 20.00 Galeria Ars Polonia w Dusseldorfie, 20.25 Jak śmiesznie żyć, tak smutno żyć — śpiewa Emilian Kamiński, 21.00 Ekspres reporterów, 21.30 Panorama dnia, 21.45 Kino Studyjne Dwójki: „Dwunastu gniewnych ludzi” — dramat psychologiczny prod. USA. Reż. Sidney Lumet.

PIĄTEK, 17 LUTEGO

Program I

8.35 Domator, 8.50 Domowe przed-szkole, 9.15 Dł — wiadomości, 9.25 Dł — dodatek gospodarczy, 9.40 „Na czolgowym poligonie” (2) — film fab. prod. ZSRR, 16.00 Program dnia, Dł — wiadomości, 16.05 Mieszkać — wszechnicza budowla, 16.25 Dla młodych widzów: „Rambit”, 16.50 Dla dzieci: „Okienko Pankracego”, 17.15 Teleexpress, 17.30 Studio sport — Mistrzostwa Świata w narciarstwie klasycznym — bieg na 10 km. kobiet, 18.00 70-lecie odzyskania niepodległości. Narodziny złotych, 18.50 Dobranoc: Sąsiedzi, 19.00 10 minut, 19.10 Monitor rządowy, 19.30 Dł, 20.05 Telewizyjny Teatr Rozmaitości: Charles Dymers, „Grzechotka”. Reż. Barbara Sass. Wyk.: Dorota Stalińska, Michał Bajor, Wojciech Wysocki, 21.45 Czas — magazyn publicystyczny, 22.20 Szkoła mistrzów — Kazimierz Karabasz, 22.35 Dł — echa dnia, 22.50 Superwizja — magazyn publicystyczno-kulturalny.

Program II

16.55 Język angielski (46), 17.25 Program dnia, 17.30 Wrocłowska lista przebojów Marka Niedźwieckiego, 18.00 Program lokalny, 18.30 Magazyn „102”, 18.50 Polska Kronika Filmowa, 19.00 „W labiryncie” (7) — „Kłopoty z zapaleniem”, 19.30 Dookoła świata — „W Pakistanie”, 20.00 „Piątek — krakowski przekładaniec kulturalny, 21.30 Panorama dnia, 21.45 „Konstancja” — film obyczajowy prod. nowozelandz.

SOBOTA, 18 LUTEGO

Program I

8.55 Program dnia, 9.00 Kino najmłodszych: „Wiosenna bajka” — film prod. ZSRR, 10.30 Dł — wiadomości, 10.40 Stare, nowe, najnowsze, 11.15 Na tropach tajemnic: Sztandary — wojskowy program publ., 11.45 Wędrowki dalekie i bliskie: „Pietrodwiercie” — film dok. TV radz., 12.10 Telewizyjny Teatr Prozy: Franc Kafka — „Proces”. Przekład — Bruno Schulz. Adaptacja i reż. — Agnieszka Holland i Laco Adamik. Wyk.: Roman Wilhelm, Krzysztof Zalewski i inni, 14.15 Do trzech razy sztuka — program z udziałem aktorów, piosenkarzy, sportowców i dzien-

nikarzy, 14.05 Komedia: „Człowiek z M-3” — film prod. pol., 16.20 Trzy rundy — widowisko publ. z udziałem Aleksandra Kwaśniewskiego, 17.15 Teleexpress, 17.30 Studio sport: Mistrzostwa Świata w narciarstwie klasycznym, 17.55 „PodLOTki” — film dok., 18.30 Butik, 19.00 Dobranoc: Wielka podróż Bolka i Lolka, 19.10 Z kamerą wśród zwierząt: Dzioby (2), 19.30 Dł, 20.05 „Samotny detektyw McQ” — film sensacyjny prod. USA, 21.45 Tydzień w polityce, 22.00 Telewizyjny przegląd sportowy, 23.00 Dł — wiadomości, 23.05 Jutro w programie, 23.15 — 0.55 Kino sensacji: „Na tropie Wilby’ego” — film fab. prod. ang.

Program II

14.25 Telewizyjny koncert żywo, 14.44 Powitanie, 15.00 „Rosomak” — film przyr. prod. USA, 15.25 Spektrum, 15.40 „Fizjologia smaku” — film dok., 15.55 Meandry architektury: Sciany, 16.15 „Planeta Ziemia” — film dok. prod. USA, 16.40 Globalna wioska — o telewizji satelitarnej inaczej, 17.00 W łęgu kina: „Steve McQueen — człowiek na krawędzi” — film dok. prod. USA, 18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska, 18.30 Śpiewa Stanisław Sojka, 19.30 Alfa i omega: Zielona alternatywa, 20.00 Filharmonia Dwójki — koncert symfoniczny w Filharmonii Narodowej. Elżbieta Chojacka (klawesyn). dyryguje — Tadeusz Strugała, 21.30 Panorama dnia, 21.50 „Raj odłożony na później” — odc. 4 pt., „Życie przeszłością” — serial fab. prod. ang., 22.40 Komentarz dnia, 22.45 „W labiryncie” — odc. 7 pt. „Kłopoty z zapaleniem”.

NIEDZIELA, 19 LUTEGO

Program I

8.55 Program dnia, 9.00 Teleranek a w nim „Szwajcarscy Robinsonowie” (16), 10.30 Dł — wiadomości, 10.35 Bez granic: Ekologia na świecie (1), 11.35 Teatr Młodego Widza: Kornel Makuszyński — „Skrzydlaty chłopiec” (2), 12.15 Telewizyjny koncert życzeń, 13.05 Bez granic: Ekologia na świecie (2), 13.35 Studio sport: Mistrzostwa Świata w narciarstwie klasycznym, 15.35 „W kamieniu kręgu” — odc. 66 i 67, 17.45 Teleexpress, 18.00 Gdzie są taśmy z lamtych lat — program Grzegorza Lasyoty. Mieszanka baletowa, 18.40 Antena, 19.00 Wieczorynka: Smurfy, 19.30 Dł, 20.05 „Tylko Manhattan” (7) — serial fab. prod. USA, 21.00 Magdalena z Koscaków (9): „Lilka”, 21.15 Sportowa niedziela, 23.15 Siedem dni na świecie, 23.25 Wyniki Totalizatora Sportowego, 23.30 Dł — wiadomości.

Program II

9.25 Przegląd tygodnia — program dla niesłyszących, 10.00 „Tylko Manhattan” (7) — serial fab. prod. USA (dla niesłyszących), 10.55 Wojskowy program dok. 11.20 Lokalny koncert życzeń, 11.45 Jutro poniedziałek — magazyn spraw codziennych, 12.15 Powitanie, 12.20 Kino rodzinne: „Autostrada do nieba” — odc. 11 (ostatni) serialu prod. USA, 13.10 100 pytań do... 13.15 Rzecznik praw obywatelskich, prof. Ewa Łętowska — program przedstawia Ireneą Dziedzic, 14.35 Podróże w czasie i przestrzeni: „Powiązania” — odc. (1) pt. „Wszystko zaczęło się od pluga” — serial dok. prod. ang., 15.35 Grają Ewa i Andrzej Baucrowie, 16.05 Być tutaj — gawęda prof. Wiktora Zina, 16.20 Kalejdoskop filmowy „Kino — Oko” — „Och! Afryka” — prod. RFN, „Riwiera Adriatyku” — prod. pol., 17.15 Aktualności kulturalne: Capella Zamku Rydzynieckiego — reportaż, 17.30 Bliżej świata — przegląd telewizji satelitarnej, 19.00 Mieszkaniec roku — reportaż, 19.30 Galeria 37 milionów: Malarstwo Georga Karola Pfahlera, 20.00 Studio sport, 20.50 Idealy — spotkanie z prof. Marianem Stępnem. Program Tadeusza Kraśki, 21.30 Panorama dnia, 21.45 „Czułe miejsca” — film fab. prod. pol., 23.15 Komentarz dnia, 23.20 Dobranoc dla dorosłych: Listy heter.

PONIEDZIAŁEK, 20 LUTEGO

Program I

16.00 Program dnia, Dł — wiadomości, 16.05 Poniedziałkowe przeboje, 16.25 Luz — program nastolatków, 17.15 Teleexpress, 17.30 Reklamy z prezentami, 17.40 Echa stadionów i

Mistrzostwa Świata w narciarstwie klasycznym, 18.30 Laboratorium: Foto, 18.50 Dobranoc: Cudze futro, 19.00 10 minut, 19.10 Program publicystyczny, 19.30 Dł, 20.05 Teatr Telewizji: Jerzy Mikke „Ostatni z Jagiellonów” cz. 1, reż. Laco Adamik, Wyk.: Jerzy Radziwiłowicz, Aleksander Fabisiak, Jerzy Bińczycki i inni, 21.55 Sportowe disco, 22.10 „Śladami pieriestrojki” cz. 1 — „Stalinizm”, 22.45 Dł — Echa dnia,

Program II

16.55 Język niemiecki (16), 17.25 Program dnia, 17.30 Antena 2 na najbliższy tydzień, 17.45 Ojczyzna — polszczyzna: „Grecko-lacińskie dziedzictwo”, 18.00 Program lokalny, 18.30 Czarno na białym — przegląd polskich kronik filmowych, 19.10 Teletrans, 19.30 Grigorij Sokolow gra polonezy Fryderyka Chopina, 20.05 „Kiedy przyglądam się swemu życiu — Harry Belafonte” cz. 1 — film dok., 20.35 „Uwaga, dokument!” — „Dzieciństwo” — reż. Jacek Piotr Latalo, 21.15 Rozmowy o cierpieniu, 21.30 Panorama dnia, 21.45 Biografie: „Lermontow” — film prod. ZSRR, reż. Nikołaj Burlajew.

WTOREK, 21 LUTEGO

Program I

8.35 Domator, 8.50 Domowe przed-szkole, 9.15 Dł — wiadomości, 9.25 Dł — dodatek gospodarczy, 9.40 „Sprawa Mariany Pineda” (2) — serial prod. hiszp., 10.40 Domator, 16.00 Program dnia, Dł — wiadomości, 16.05 Studio sport — Mistrzostwa Świata w narciarstwie klasycznym, 16.25 Dla dzieci: „Tik-Tak” a w nim „Cudowna podróz” (21) — serial prod. austriackiej, 17.15 Teleexpress, 17.30 Lex: Zapowiedź programu; Reforma prawa karnego, 17.35 „Tajemniczy pan Duvallier” (5 — ostatni) — „Walizka z pieniędzmi” — serial prod. franc., 18.30 Klinika Zdrowego Człowieka, 18.50 Dobranoc: Śniegowe skrzaty, 19.00 10 minut, 19.10 Lex — magazyn społeczno-prawny. Reforma prawa karnego, 19.30 Dł, 20.05 „Sprawa Mariany Pineda” (2) — serial prod. hiszpańskiej, 21.05 Konferencja prasowa rzecznika rządu, 21.30 Lex — program społeczno-prawny, 21.40 15 lat Orkiestry Rozrywkowej PRiTV w Katowicach pod dyrykcją Jerzego Miliana, 22.20 „Śladami pieriestrojki” — „Lata zastoju”, 22.50 „Wódka, pozwól żyć...”, 23.20 Dł

Program II

16.55 Język angielski (16), 17.25 Program dnia, 17.30 „Wielka epoka” (7) — serial dok. prod. włoskiej, 18.00 Program lokalny, 18.30 Studio hi-fi — John Porter, 19.15 Eksperyment — reportaż z gościnnymi występami Teatru „Eksperyment” z Leningradu, 19.30 Kolorowy zawrót głowy, 20.00 Non stop kolor „Brown sugar” (1) — „Początki” — serial dok. prod. prod. USA; reż. Frank Ryan, Matthew Pook, 21.00 Powtórka z historii, 21.30 Panorama dnia, 21.45 Adaptacje opowiadań Guy de Maupassanta „Mała Roque” — film prod. franc.; reż. Claude Santelli.

ŚRODA, 22 LUTEGO

Program I

8.35 Domator, 8.50 Domowe przed-szkole, 9.15 Dł — wiadomości, 9.25 „Spotkania na lotnisku” (4) — „Uśmiech stewardessy” — serial prod. NRD, 10.35 Domator: Przyjemne z pożytecznym, 15.50 Program dnia, Dł — wiadomości, 15.55 Losowanie Express i Super Lotka, 16.05 Bariery, 16.25 Dla młodych widzów: „Latający holender” — Klub Zdobyców Oceanów, 16.50 Dla dzieci: „Cojak” — teleturniej, 17.15 Teleexpress, 17.30 Z Polski rodem — magazyn polonijny, 17.50 Telewizyjny informator wydawniczy, 18.10 Studio sport — Mistrzostwa Świata w narciarstwie klasycznym, 18.50 Dobranoc: Miś Uszatek, 19.00 10 minut, 19.10 Sejmowe spotkanie, 19.30 Dł, 20.05 „Jestem przeciw” — film obyczajowy prod. pol., reż. Andrzej Trzos-Rastawiecki, Wyk.: Rafał Wieczyński, Anna Gronostaj, Jolanta Piętek, Daniel Olbrychski, Ewa Dalkowska, Zbigniew Zapasiewicz, 21.35 „Śladami pieriestrojki” — „Białe plamy”, 22.05 Koncert w Żelazowej Woli z okazji 179 rocznicy urodzin Fryderyka Chopina, 22.35 Rozmysłania prof. Mariana Stępnia, 22.45 Dł — Echa dnia, 23.05 Język rosyjski

Program II

16.55 Język rosyjski (17), 17.25 Program dnia, 17.30 Wien wazy 1920 — teleturniej, 18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska, 18.30 Ze wszystkich stron — magazyn reporterów, 19.00 Rzeczpospolita nieznaną — Poznań, 19.45 Powrót — reportaż, 20.00 Klucz do nowej muzyki — o twórczości Edwarda Bogusławskiego, 20.55 „Tango i Bach” — film baletowy prod. ZSRR, 21.30 Panorama dnia, 21.45 „07 zgłoś się” (3) — „Dlaczego pan zabił moją mamę” — serial prod. TVP, 22.10 „997” — kronika kryminalna.

INFORMATOR KULTURALNY

TEATR

TEATR IM. J. OSTERWY:
16.02, 17.02 godz. 18 oraz 18.02, 19.02 godz. 19: „Portret” Sławomira Mrożka; reż. Jacek Andrucki.
22.02 godz. 18: „Gałązka rozmarynu” Zygmunta Nowakowskiego; reż. Roman Korziński.

TEATR LALKI I AKTORA:

16.02 w Krasniku, 17.02 w Piaskach: „Don Zan”, anonim czeski, reż. Tomasz Jaworski.
18.02, 19.02 godz. 12 w Lublinie, 21.02, 22.02 godz. 9.30, 13 w Puławach (Dom Chemika): „Dziewczynka z ryżowych pół”, Anny Swirszczynskiej; reż. Tomasz Jaworski.
TEATR MUZYCZNY:
18.02 godz. 16, 19.15 w Białej Podlaskiej (Dom Socjalny ZPW „Białawna”), 19.02 godz. 16, 19.15 w Hrubieszowie: „Paganini” Ferencza Lehara.

MUZYKA

PAŃSTWOWA FILHARMONIA LUBELSKA:
17.02 godz. 19, 18.02 godz. 18: koncert symfoniczny poświęcony pamięci Mieczysława Karłowicza. W programie: poemat symfoniczny M. Karłowicza „Powracające fale”, Uwertura do opery „Maria” Romana Statkowskiego, I Koncert skrzypcowy Karola Szymanowskiego. Orkiestra PFL dyrygować będzie Ryszard Komorowski. Solistka: Teresa Główna — laureatka Międzynarodowych Konkursów Skrzypcowych.
19.02 godz. 18: koncert recitalowo-symfoniczny węgierskiego pianisty Jenő Jandó. W programie: utwory Mozarta oraz II Koncert fortepianowy A-dur Franciszka Liszta.
22.02 godz. 17 w Białej Podlaskiej: operomontaż „Cyrulik Sewilski” Gioacchino Rossiniego (sala MDK).

PLASTYKA

W LUBLINIE
Muzeum na Zamku — wystawa medalierstwa poświęcona pontyfikatowi Jana Pawła II.
Muzeum Wincentego Pola — wystawa pt. „Amor Patriae Nostra Lex — z Sieclna Krasicy herbu Rogala”.
Galeria BWA (ul. Narutowicza 4) — wystawa Dariusza Lipskiego i Sławomira Marca: instalacje i obiekty.
Galeria Grodzka (ul. Grodzka 5a) — wystawa rzeźb Zbigniewa Dudka.
Galeria „Labirynt” (ul. Grodzka 3) — wystawa instalacji Janusza Baldygi pt. „90 stopni”.
Galeria „Neva” (ul. Grodzka 5) — wystawa prac Jacka Grzesiaka.
Galeria TPSP (ul. Grodzka 32/34) — wystawa grafiki i ekslibrisu Romana Muchy; 17.02 godz. 17 — spotkanie z autorem.
W PUŁAWACH
Puławski Ośrodek Kultury („Dom Chemika”):
— wystawa dokumentalna poświęcona 150 rocznicy ogłoszenia wynalazku fotografii (czynna do 20.02),
— prezentacja sztuki czeskosłowackiej,
— wystawa grafiki szwedzkiego artysty Jørgena Hammarsa.

W BIAŁEJ PODLASKIEJ
Galeria Sztuki Współczesnej: 17.02 godz. 17 — otwarcie wystawy malarstwa Stanisława Baja.

W MIĘDZYRZECU PODLASKIM
Galeria „ES” (MDK ul. Warszawska 37) — wystawa malarstwa Magdaleny Witkowskiej.

W CHELMIE
Galeria „77” (ul. Lubelska 55) — wystawa indywidualna Teresy Murak.

W ZAMOŚCIU
Arsenal (ul. Zamkowa 2) — wystawa pt. „Pocztówka zamowska”.
BWA — wystawa pt. „Dziecko w medalierstwie”.
Galeria Sztuki Współczesnej — wystawa malarstwa Romy Polańskiej.

ROZRYWKA

21.02, 22.02 godz. 16.30, 18.15, 20 kino „Kosmos” — Piosenka jest dobra na wszystko”. Udział biorą między innymi: Adam Zwierz, Bogdana Zagórska, Felcján Andrzejczak.

SPOTKANIA

W LUBLINIE
Klub Historyczny Oddział Miejski Stowarzyszenia PAX (Krakowskie Przedmieście 68): 21.02 godz. 17 — spotkanie z red. Janem Engelgardem pt. „Wojna 1920 r.: Cud nad Wisłą”.

ZESPÓŁ: Ewa Czerwińska, Mirosław Derecki, Ewa Dybek (redaktor techniczny), Zbigniew Dzieciotek, Wiesław Horabik, Violetta Krasnowska, Zbigniew Miazga (kierownik działu kultury i informacji), Andrzej W. Pawluczek (kierownik działu reportażu), Waldemar Piasecki (kierownik działu publicystyki), Franciszek Piątkowski (redaktor naczelny), Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), Waldemar Stępień (fotoreporter), Leszek Wiśniewski, Izabella Wlazłowska (korekta), Barbara Caban. Sekretariat: Anna Wójtowicz.
ADRES REDAKCJI: ul. Skłodowskiej 2, 20-029 Lublin. Telefony: 215-57 (sekretariat, redaktor naczelny), 205-34 (sekretarz redakcji), 233-88 (działy). Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231.
WYDAWCA: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch”, ul. Jasna 6, 20-077 Lublin, tel. 255-30.
DRUK: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.
Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach.
Informacja o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa—Książka—Ruch” i urzędw pocztowe.
Nr indeksu: 37409.
Zam. 234. 3.02.89. B-4.

POLSKA NORMA

OSTATNIA PANORAMA RZECZYPOSPOLITEJ

Waldemar Piasecki

KIEDY się dowiedziałem, że Stronictwo Demokratyczne zamierza w rozkwicie kryzysu wznosić w Kocku panoramę bitwy pod tą miejscowością, najpierw nie uwierzyłem. Potem zapytałem redakcyjnego koleżę, działacza tej partii, czy jest to prawda. Kiedy mi powiedział, że jest to istotnie zamiar poważny, zapytałem o jaką bitwę kolegom z SD chodzi. Jak bowiem wiadomo z historii, były w tej okolicy trzy wydarzenia wojenne, które da się określić mianem bitew. 5 maja 1809 r. poległ tu w starciu z Austriakami pułkownik armii Księstwa Warszawskiego, Berek Joselewicz. Wcześniej znany z Insurekcji Kościuszkowskiej, organizator pułku lekkiej jazdy żydowskiej, następnie oficer Legionów Dąbrowskiego. W sierpniu 1920 roku miasteczko weszło do dziejów batalistyki przy okazji wojny polsko-radzieckiej, gdzie obie zainteresowane strony wykrawały się skutecznie w intencji uchwycenia (dla strony radzieckiej) bądź niedopuszczenia do uchwycenia (dla nas) przyczółka na Wieprzu. Wreszcie: od 2 do 5 października 1939 roku ostatnią regularną bitwę wojny obronnej stoczyła pod Kockiem grupa operacyjna „Polesie” generała Franciszka Kleeberga. Po czym skapitulowała 6 października tegoż roku.

Moje wątpliwości, o które to wydarzenie chodzi, brały się stąd, że żadne z nich nie niosło przesłania równego

temu, jakie posiada Panorama Raciawicka otwierana najpierw we Lwowie, a następnie we Wrocławiu. Nie znajdowałem powodów do nagłego przypływu uczuć naszych demokratów do Zyda — polskiego patrioty. Zwłaszcza, że jego z kolei uczucie do Polski znalazło finał tragiczny i ostateczny. Nie przekonywał mnie ani wynik, ani kontekst bitwy z 1920 roku. Wszak były tego lata wydarzenia bardziej spektakularne i efektowne wojennie. Choćby obrona Warszawy, zwana cudem nad Wisłą. Nie podejrzewałem też SD o skłonności masochistyczne, przejawiające się w chęci uczczenia ostatecznej klęski militarnej II Rzeczypospolitej.

Po bliższym rozpoznaniu okazało się, że idzie istotnie o bitwę stoczoną przez żołnierzy Kleeberga. Wybaczenie drody koledzy, ale niestety, nie rozumiem. I nie idzie mi już o to, że w Polsce brakuje szkół, szpitali, przychodni, żłobków, domów opieki. Ze nawet w naszym Kocku zjedzenie obiadu staje się, dla jadącego tranzytem, dużym problemem, i że przejechanie przez centrum miasta, bez groźby kolizji drogowej to spore osiągnięcie. Nie chodzi o to, że w kraju brak środków na wszystko, i że inflacja te niedobory pomnaża, a więc każdy dobry gospodarz powinien liczyć się z groszem. Zwłaszcza tym, którego nie ma. Mnie interesują motywy waszego wyboru. Na mój rozum, jeżeli chodziło o pokazanie bohaterstwa i rów-

nej walki dokąd się dało, to wybór powinien paść na Kutno i generała Kutrzebę. Jeżeli o wyeksponowanie totalności klęski wrześniowej — sposobniejszym przykładem jest generał Fabrycy i jego Armia Karpaty. Jeżeli miały być „widocznione „polskie Termopile”, to już chyba major Sucharski i Westerplatte. Jeśliby miało iść o „polskiego Spartakusa”, to chyba lepszy wydaje się, choć też nie na taką skalę, Hubal, walcząca istotnie do samego końca i wbrew wszelkiej logice wojennej.

Jedyny powód, jaki jestem w stanie pojąć, to ten, że Kock i jego demokraci chcą mieć COS własnego. Własnego i dużego. Takie wymogi zdaje się spełniać Panorama Kocka. Jak słyszałem, zamiarem samego powielenia idei Koskasa i Styki towarzyszy także cały program rozbudowy infrastruktury tego dzieła. Ma on spełniać wymogi turystów, którzy będą ciągnąć do Kocka po wrażenia oraz młodzież przybywającą po naukę. Wybaczenie, ale swoich dzieci do Kocka nie posłę. Dlaczego? Chcąc się wykpić i dać najprostsza odpowiedź, mógłbym powiedzieć: bo nie widzę najmniejszych szans, aby panorama w tym miejscu powstała. Znaczenie jednak ważniejsze jest to, że nigdy nie będę uczył swych dzieci na klęskach wojennych mojej ojczyzny. To jeżeli idzie o patriotyzm. Podobnie też nie będę uczył ich rachunków na krzyżach, jakimi usiany jest mój kraj.

Idąc tokiem filozofii kockiej — panoramy powinny pokryć naszą Polskę wszędzie i wzdłuż, bowiem trudno o województwo, gdzie kiedyś ktoś by komuś nie dołożył mieczem, pałaszem, kosą czy „pepeszą” i „katuszą”, lub też nimi nie dostał (w tym wypadku dwie ostatnie bronie cofam, aby nie dostarczać zajęcia naszej sympatycznej pani cenzor). Żeby nie szukać daleko: Panorama Po-

rytowego Wzgórza, Panorama Rąbłowska, Panorama Puszczy Solińskiej, a także Panorama Warecko-Magnuszewska.

Istnieje opinia, że Polakom bardzo przeszkadza w racjonalizowaniu ocen historycznych ich mania potriotyczno-wojenno-bogoojczyźniana. Ze skłonni są nawet najmniejsze sukcesy wynosić do rangi wielkich zwycięstw, a klęski minimalizować i opatrywać zawsze jakimś „ale”. Przegrali nasi, ale potem przecież wygrali! Nieomal: gdyby nie przegrali, to by potem nie... wygrali. Pytanie: czy w ogóle musieli przegrywać? uważa się za zupełnie nie na miejscu. Natomiast ogląd tej samej sytuacji z punktu widzenia przeciwnika i dokonanie alternatywnej analizy (dla jasności chodzi mi tu tylko i wyłącznie o sztukę bojową, a nie o politykę i etykę), w ogóle w grę nie wchodzi. Polak nigdy nie będzie w stanie analizować Kocka z punktu widzenia armii niemieckiej, tak jak na przykład Amerykanin Pearl Harbour z pozycji japońskich. Dla lepszej ilustracji tego zjawiska przytoczę wiersz Antoniego Słonimskiego (przypomniany przez Ryszarda Marka Grofińskiego onegdaj w „Polityce”). Jego walory dydaktyczne i terapeutyczne pozostawiam ocenie P.T. Czytelników.

„Grzmą armaty pod Stoczkim
zle Polakom się wiedzie.
Uciekają psubraty,
a Dwernicki na przedzie.

Moskal dzielnie naciera,
prze Polaków do Gdańska.
A z niebiosów spoziera
Matka Boska Kazańska”.

Nie denerwujcie się. W rzeczywistości 14 lutego 1831 roku Dwernicki pogonił kota generałowi Gejsmarowi.

KUCHNIA MAŁOPOLSKA

PRZYPowieść O DOBRYM AMERYKANINIE

Janusz Malinowski

FAJNY film wczoraj widziałem. Były momenty. Nie idź — jednak o momenty, jakie mają na myśli autorzy dialogów „Kulis srebrego ekranu” nadawanych w radiowej „Powieści z rozrywki”, lecz o sprawy innego zupełnie gatunku. Film (dostępny na kasetach video, choć nie wiem czy legalnie) nosi tytuł „Kane i Abel”.

Oto w roku 1901, na dwóch różnych końcach świata, gdzieś we wschodniej Polsce (pod panowaniem rosyjskim) oraz w Stanach Zjednoczonych przychodzi na świat niemal równocześnie dwóch chłopców. Amerykańskie niemowlę rodzi się oczywiście w sterylnej higienicznej amerykańskich warunkach. Otoczona gromadką lekarzy i pielęgniarek położnica pojekuje tylko kulturalnie, poci się i zagryza zębami wargi, w końcu wydaje westchnienie ulgi i usmiecha się słysząc krzyk dziecka. Polka, jak przystało na dzikuskę, rodzi oczywiście w lesie. Oparta o pień sosny wrzeszczy przeraźliwie, ale jest to faktycznie wołanie na puszczy, wykrawa się więc i umiera.

Odcieczka pepowiny dokonuje, jak to w Polsce, wiejski chłopak spacerujący po lesie, który zabiera dziecię do chaty swoich rodziców. Ponieważ zmarła kobieta nie była snana w okolicy swego zejścia, chłopiec wychowuje się wśród innych wiejskich zasmarkanców aż do czasu, gdy uwagę na niezwykle rezolutnego bękartą zwraca miejscowy baron i zabiera go do pałacu w charakterze małejki do towarzystwa dobrze urodzonego baronowego syna.

W tym samym czasie amerykański boy jest już po amerykańskim bezbolesnym ząbkowaniu, rozwija się naturalnie też po amerykańsku, czyli znakomicie i wszechstronnie. W wieku siedmiu lat zadaje dorosłym mądre, podchwytliwe pytania i szykuje się do przejścia po ojcu-bankierze, interesu.

W Europie wschodniej tymczasem nadal zawierucha. W roku 1914 do pałacu barona wkracza najpierw armia austriacka, potem Niemcy, a wrzeszcie w 1918 roku dzicy bolszewicy, którzy — jak to bolszewicy — gwałcą, rabują i w końcu wywożą niedobitków na Syberię. Baron jednak ma szczęście, udaje mu się umrzeć w piwnicy, gdzie uwięzili go Niemcy. Ponieważ jego prawowitego potomka ubili natychmiast po wkroczeniu Austriaków, na łozu śmierci wyznaje, że bękart jest jego nielegalnym synem i w obecności świadków przekazuje mu insygnia baronowskie — srebrną bransoletę.

Podczas gdy ubaronowiony bękart, Wladek podawiany jest na Syberii, inteligentny Amerykanin studiuje w Harvardzie, gra w hokeja i jest już prawie szefem banku, bo tatuś tymczasem odszedł z tego świata, co zdarza się nawet wszechmocnym Amerykanom. Koledzy tatuśka trzymają jednak dla młodzieńca posadę wiceprezesa, którą faktycznie, w godzinę po otrzymaniu dyplomu, obejmuje. Żeby nie było za słodko, dzielni młodzieńca Kane ma też swoje problemy — naiwna mamusia Kane'a wyszła za mąż za oszusta Osborne'a i teraz cierpi, co napawa troską syna. Życie rozwiązuje jednak i ten kłopot — mamusia umiera. Osborne idzie won. Kane rozpoczyna samodzielną karierę bankiera.

Tymczasem Wladek, aby dotrzeć do amerykańskiego rajy, musi najpierw związać z obozu na Syberii, potem w Turcji ukończyć z głodu pomarańczę i położyć za to rękę na katowskim pniaku, i w ostatnim momencie zostać wyratowanym przez polskiego konsula i przez tegoż załadowanym na parowiec. Schodząc ze statku na amerykańską ziemię pozbywa się niewygodnego imienia Władysław i zostaje Abłem.

Kariera Kane'a rozwija się — jak to w Ameryce — harmonijnie. Praca, awanse, praca, a w międzyczasie właściwy, bogaty ożenek. Owany polski bękart, który potrafił już kiedyś zaimponować baronowi, też jednak nie próżnuje. Jako kelner, podsłuchując rozmowę biznesmenów, skupuje akcje i wpada w oko właścicielowi hoteli, który po pewnym czasie robi go swoim wspólnikiem, a w końcu i dziedzicem fortuny. Po czym hotelowy baron skacze przez okno, bo krach na giełdzie właśnie go zrujnował.

Wladek postanawia ratować interes i po pożyczkę na wykupienie hoteli z rąk wierzycieli trafia właśnie do Kane'a, który rozpoznaje byłego kelnera po

bransolecie, podziwia jego awans, ale podczył dać nie może, bo nadal jest tylko wiceprezesem. Wladek po polsku wścieka się, obiecuje Kane'owi zemstę, trzaska drzwiami, wybiega, szaleje. Lata za pieniądze jak głupi, tu się łazi, tu obiecuje i... w końcu dostaje, tylko nie wie od kogo, bo pożyczkodawca zastrzegł sobie anonimowość.

Teraz idą niemał lew w lew. Kane awansuje na prezesa, ale Abel, czyli Wladek, pnie się jeszcze szybciej. Niestety, przy pomocy Osborne'a, który dla imperium hotelowego dokonuje różnych ciemnych machinacji. Narwany Władzio nic nie wie o Osborne, ani o jego przeszłości związanej z Kanem, prze do przodu chcąc zniszczyć wroga — bankiera.

Mijają lata i naprzeciwko siebie stoja już dwa potężne imperia, przy czym agresorem jest dyszący zemstą (choć dobrze nie wiadomo za co) wściekły, walący co raz pięścią w stół i wrzeszczący Słowianin. Ale więcej jakby szansa ma ciągle spokojny, zrównoważony i mądry bankier.

Chytry i przewrotny Wladek-Abel wykonuje jednak sprytny manewr, kłamie jak najęty przed komisją i podlamuje Kane'a. Teraz ten przystępuje do kontrataku. Adwokat Kane'a wyciąga podstępnie od zdegenerowanego pijaczka Osborne'a tajny notes zawierający opisy nielegalnych transakcji i doprowadza do skazania Abła przez sąd.

Gdy obaj są na psychicznym dnie, a ich fortuny chwają się, sytuacja komplikuje się dodatkowo, bo córka Abła i syn Kane'a, nie wiedząc nic o sobie, poznają się, zakochują wzajemnie i pobierają.

— Zabić wroga — krąży po Władkowej głowie jedna tylko myśl. — Nie dać się i utracić uzurpatora — kombinuje szlachetniej nieco wszakże Amerykanin. Jeszcze jeden atak Abła i Kane traci stanowisko, dostaje zażalu i staje się wrakiem ludzkim. Wkrótce też umiera, ale Abel-Wladek też nie jest w dużo lepszym stanie. Zniszczyła go nie-nawieść, walka na śmierć i życie, bezwzględność i zaślepienie. Dobija zaś... wiadomość z testamentu Kane'a, który wyznaje, że to on z prywatnej kasy pożyczyl Władkowi pieniądze na wykupienie hoteli.

Łzawy „happy end”, kiedy dzieci i wspólny wnuczek otwierają razem kolejny hotel „Baron” w... Warszawie, to pobłażliwy gest twórców melodramatu, który kończy przypowieść o dobrym, szlachetnym Amerykaninie Kane (Kainie), którego zabił zły i wściekły polski bękart Abel. Tak jak w Biblii, tylko odwrotnie. Bo prawda — miłi Amerykanie — jest oczywiście odwrotna do tego, co głosi komunistyczna propaganda.

W numerze 6 opublikujemy:

✦ „OD ŁAGRÓW KOMI DO WINNIC ITALII” ✦ BIERUT — BEZPARTYJNYM? ✦ UMIERAM NA AIDS ✦ POLACY PRZED BAZYLIKĄ GROBU W JEROZOLIMIE ✦ FAŁSZE W „ENCYKLOPEDII” ✦ GŁOS PRZED ZJAZDEM ZLP ✦ DZIEJE STAREGO TEATRU W LUBLINIE ✦ DLACZEGO W POLSCE NIE MA SERA? ✦ PROGRAM TV.